Nr. 53. Lwów, Niedziela dnia 1. Września 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

SPRAWY KULTURY KRAJOWEJ.

II.

Rozważając projekt wydziału krajowego co do melioracyi gruntów ze stanowiska finansowego, o którym mówiliśmy w ostatnim numerze Tygodnia, podzielamy zupełnie zapatrywanie się sprawozdania, że tylko fundusz publiczny jako pożyczka zaciągnięta pod gwarancyą kraju, dać może najtańszy i najłatwiejszy kapitał do tego rodzaju melioracyi. Tak względy hypoteczne, jak i ogólne finansowej natury, dają pierwszeństwo funduszom publicznym przed wszelkimi innymi, w których spekulacya niepoślednią odegrywa rolę. Jednak nie możemy się zgodzić na sposób finansowania tej pożyczki przez wypuszczenie procentowych obligacyi do wysokości 5,000.000 zł.

Przeciw manipulacyi takiej przemawiają następujące okoliczności.

Po pierwsze: że Galicya w ogóle posiada bardzo mały zapas zaoszczędzonych kapitałów, któreby w nowej pożyczce szukać zechciały lokacyi, a przypuściwszy nawet żeby się znalazły, to nastąpić to musi ze szkodą innego ruchu czy na drodze przemysłowych czy też handlowych potrzeb, czy wreszcie ze szkodą innych kredytowych walorów galicyjskich, mających nie tak pewną jak proponujące się obligacye gwarancyą.

Powtóre: Przy tak obfitym zasobie kredytowych papierów, które w samych listach opartych na hypotece większej nieruchomości wynoszą dziś przeszło 125,000.000 zł. nie licząc innych, kursujących w formie akcyi różnych stowarzyszeń, obawiać się potrzeba przeładowania naszego rynku sztuczną cyrkulacyą pieniężną, która w danym wypadku wywrze deprecyonujący wpływ na kurs takowych, a w razie niekorzystnej sytuacyi politycznej, stanie się niemożebną.

Po trzecie: Gdyby Wydział krajowy był instytucyą finansową, i mógł podobnie jak inne zakłady kredytowe przez zakupno swych obligacyi utrzymywać kurs w należytej wysokości — emisya taka miałaby pewne usprawiedliwienie — lecz jeżeli lokacyi trzeba będzie szukać po za granicami kraju, czynność emisyjna narażoną będzie na wszelkie niebezpieczeństwa spekulacyi giełdowej. Zważywszy nadto, iż wydawanie obligacyi zastosowane do żądań, ciągnąć się może lata, że kursa ich między zapotrzebowaniem, a realizacyą ulegać będą fluktuacyi, jak wiadomo dziś zawisłej od monopolu wielkich kapitalistów, przyjdziemy do przekonania, iż właściciel podejmujący ulepszenia, nie będzie w możności dokładnie obliczyć kosztów tego przedsiębiorstwa, a tem bardziej i jego rentowności na przyszłość.

Trudności tego rodzaju i niepewność ścisłego rachunku, muszą zniechęcająco wpłynąć na ruch pożyczek. Gdy idzie o rachunek zagrożonej sytuacyi właściciela ziemskiego, nie waha on się korzystać z jakiegobądź kredytu, jak człowiek mający nóż na gardle. Z melioracyą jednakże rzecz się ma inaczej, skoro tych funduszów na inny cel użyć nie może, i skoro przy spłacie rat z takiej pożyczki grozi mu bezwzględna egzekucya administracyjna — namyślać się więc będzie, czy kredyt ten nie stanie się za wielkim do spodziewanych zysków ciężarem.

Z tych powodów, uważalibyśmy za najwłaściwsze, aby zaciągnięta być mogła pożyczka w gotówce i ile możności za granicą. Przy takiej obfitości kapitałów na Zachodzie Europy, która się obecnie we Francyi, Belgii i Holandyi przedstawia, przy takiej gwarancyi, jaką kraj zbiorowo dać może, nie wątpimy, iż znajdą się domy bankowe, które z chęcią i na niską stopę procentową ulokują w Galicyi swoje fundusze. Tym sposobem kraj nasz podwójną korzyść odniesie, raz, że dostanie pożyczkę, której kurs na korzyść prywatnej spekulacyi nie będzie ulegał fluktuacyom giełdowym, a powtóre, że wpłynie do kraju obcych kapitałów pięć milionów guldenów, które w pośredni sposób przyczynią się do wzmocnienia ogólnej cyrkulacyi pieniężnej oddając tem samem i innym gałęziom ekonomicznego rozwoju niepoślednie korzyści.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem sprawa kradzieży wlokła się nadzwyczaj powoli. Według adresu nadesłanego przez Adolfa, policya zażądała z Tręczyna bliższych wiadomości o owym Węgrze. Pokazało się, że człowieka takiego nazwiska nie znano tam całkiem. To naprowadzało na podejrzenie, czy przypadkiem ów Węgier nie zostaje w związku z tą kradzieżą. Zażądano od Julii dokładnego rysopisu i wysłano za nim listy gończe. Wszystko to jednak nie doprowadzało do żadnego odkrycia. Ścisłe śledztwo przeprowadzone ze służbą kolejową także nic nie wykazało. Kolej nie chciała przyjąć odpowiedzialności za skradzione rzeczy, tłómacząc się, że kufry nie zginęły i zamki nie były naruszone. Bankier widział, że dalsze siedzenie tutaj nie doprowadzi do niczego, i zdecydował się wyjechać. Żona chętnie zgodziła się na to, bo już stęskniła sie za zabawami, towarzystwem; Leon także z radością przyjął tę nowinę, jemu miasteczko robiło wrażenie bezludnej wyspy, na którą dostał się po rozbiciu okrętu. Nawet Julia cieszyła się na wyjazd, bo nie przypuszczała ani na chwilę, że Jan nie jedzie z nimi. Dopiero w ostatniej chwili dowiedziała się o tem, kiedy siedząc już w powozie zobaczyła, że Jan nie był wcale wybrany jak do podróży i nie myśli siadać z nią razem.

— Jakto? Pan nie z nami? — spytała zdziwiona, przerażona prawie tą niespodzianką.

— Nie mogę pani — odrzekł grzecznie Jan — interesa zatrzymują mnie tutaj.

— I nie będziesz pan całkiem u wód? — spytał bankier — a ja chciałem właśnie rozmówić się z panem ostatecznie w interesie naszego przedsiębiorstwa. Czasby było rozpocząć budowę fabryki.

— Spodziewamy się, że nas pan odwiedzisz — dodała bankierowa.

Jeden tylko Leon nic się nie odzywał i spoglądał na wszystkich z uśmiechem, w którym malowała się ukryta radość i złośliwość.

— No, przyjedziesz pan? — spytała Julia głosem miękkim przytrzymując w swoich delikatnych rączkach jego rękę, którą podał jej na pożegnanie, i dodała ciszej prawie ze łzami — przyjedź pan, ja bardzo proszę.

— Może — odezwał się niepewnie Jan.

— Będę czekać — rzekła i rzuciła mu na pożegnanie spojrzenie, od którego gorąco mu się zrobiło.

— Do widzenia, do widzenia — odezwało się kilka głosów i powozy ruszyły z miejsca.

Julia kilka razy wychyliła się jeszcze z powozu i posyłała Janowi ręką pozdrowienie. Już powóz zniknął w obłoku kurzawy, a Jan stał jeszcze jakby zaczarowany na miejscu i patrzał. Dopiero głos aptekarza obudził go z tego zapatrzenia.

— Szczęśliwy człowieku — rzekł oryginał w zielonych okularach i czerwonym fezie, uderzając z lekka w ramię Jana — nad czemże myślisz, co? I to wabi i to nęci wśród rozkosznej sianożęci — prawda?

Słowa te podziałały jak zimna woda na rozstrojone nerwy Jana, opamiętał się i wytrzeźwiał. Spojrzał na aptekarza, a ujrzawszy go w podróżnem ubraniu, z torebką w ręku, spytał:

— A pan gdzie się wybierasz?

— Także do wód. Kiedyż będziemy mieli przyjemność zobaczyć tam ciebie?

— Zapewne nie doczekacie się.

— Oby! — uścisnął mu rękę przyjaźnie i siadł na wózek.

Jan poszedł spiesznie do siebie. Tak mu jakoś lekko, swobodnie zrobiło się na sercu po wyjeździe Julii, jakby się przebudził po męczącym śnie w majowy poranek. Sam się dziwił, że tak prędko jej czary straciły moc swoją nad nim i nie zostawiły po sobie żadnego śladu. I z oczów i z myśli równocześnie mu się usunęła. Z czystem sumieniem wracał do Amelii i witał ją tego dnia z taką radością i uczuciem, jakby Bóg wie jak dawno jej nie widział. I ona odetchnęła także, skoro się dowiedziała o wyjeździe Nadermanów; i w cichem mieszkanku Leszczyców, wróciło znowu wszystko do dawnego porządku. Stary Leszczyc, który na kilka dni wyjechał był z domu w interesach klasztoru, a może i dlatego, aby uniknąć spotkania się z Nadermanami, powrócił także do domu i brał udział w szczęściu rodzinnego kółka swego. Czworo tych osób, szczególniej kiedy były razem, przedstawiało obraz zadowolenia i miłości, twarze ich takie były jasne, promieniejące, jakby pośród nich wchodziło nowe jakieś słońce i rzucało blaski na nich złociste. Miłość młodych miała wszystkie powaby wiosny, a staruszkowie przypominali sobie pogodne dnie jesienne.

Po wspólnych naradach Jan wyjechał na kilka dni do Lwowa zawrzeć ostatecznie układ z jakąś spółką właścicieli kopalni nafty. Chciał mieć coś pewnego w rękach, aby można już było na seryo myśleć o małżeństwie z Amelią. Chrzest jej miał się odbyć za jego powrotem. Tymczasem kobiety zajęły się szyciem wyprawy, a podczas szycia snuły się marzenia i projekta, jak złote nici. Jan sprawił im niespodziankę swoim powrotem, bo wrócił o parę dni pierwej niż myślał. Amelia nic nie wiedziała jeszcze o jego przybyciu; to też nie zastawszy ją u rodziców, poszedł do jej mieszkania, aby ją powitać coprędzej. Spotkał właśnie Surę wracającą do domu, wszedł więc bez dzwonienia, na palcach, otworzył drzwi po cichu. aby nagle, niespodzianie zjawić się przed nią. Stała właśnie przed lustrem i przymierzała jakiś naszyjnik. Chciał niepostrzeżony zbliżyć się do niej i zasłonić jej oczy; ale zobaczyła go w lustrze, krzyknęła z radości, rzuciła naszyjnik na ziemię i z rozwartemi ramionami upadła w jego objęcia.

— Wróciłeś? Ach jak to dobrze, jakiś ty dobry — mówiła tuląc się do niego z nieopisaną uciechą. — Wszystkim nam tu było bardzo smutno bez ciebie.

— I pocieszaliśmy się przymierzaniem naszyjników — odezwał się Jan żartobliwie.

— A, prawda, jaki piękny? — rzekła podnosząc z ziemi naszyjnik i pokazując go Janowi — to prezent ślubny od ojca, mówił mi prawda, żeby tego przed weselem nikomu nie pokazywać, musiałam mu nawet przysięgnąć na to.

— A to dlaczego?

— Nie wiem, co on ma w tem, podobno boi się, aby nas nie okradziono, żeśmy tylko same dwie z Surą. No, ale przed tobą nie mam sekretu, bo ty, to ja, a ja, to ty, nie prawda? I ojciec pewnie nie pogniewa się, że dla ciebie złamałam przysięgę. Zasłużyłeś na to, żeś przyjechał tak prędko. No pocałuj mnie — mówiła dalej z dziecinną wesołością podając mu czoło — to ci jeszcze coś pokażę — i pobiegła do alkierzyka, gdzie zabawiwszy chwilę, wyszła ubrana w kolczyki, przy których wisiały dość ogromne perły w złotych haczyczkach.

— A co, prawda, że cudowne — mówiła stając przed nim wesoła i uśmiechnięta. — Cóż? nic nie mówisz, jak ci się podobają? Dlaczego wpatrujesz się we mnie tak dziwnie? — spytała zmieszana jego spojrzeniem.

— Zkąd masz te perły? — spytał Jan zmienionym głosem.

— Mówiłam ci, że od ojca. Dlaczego pytasz się o to?

— To są właśnie perły, które zaginęły z innemi rzeczami na kolei.

— Kradzione — zawołała przerażona, szybko wyjęła kolczyki z uszów i rzuciła je ze wstrętem od siebie. — Zabierz je, odnieś, nie chcę ani chwili mieć u siebie kradzionych rzeczy.

— Trzeba jednak wiedzieć, od kogo twój ojciec je kupił; po tym śladzie dojdziemy do złoczyńcy. Czy ojciec nie mówił ci, gdzie to kupował?

— Nie pytałam się go o to. Ale on będzie tu znowu za parę tygodni, to się dowiemy. Tymczasem idź, zanieś to, niech policya śledzi. Mój ojciec pewnie gdzie w okolicy jest na jakim jarmarku, oni to będą wiedzieli, zawołają go i powie im, gdzie szukać złodzieja.

Jan uznał to za bardzo słuszne, zabrał tedy kolczyki i naszyjnik i poszedł z tem do policyi, gdzie zdał sprawę w jaki sposób przyszedł do tych przedmiotów i podał nazwisko ojca Amelii. Kiedy wrócił do domu zastał tam już Amelią. Leszczycowie wiedzieli już od niej o wszystkiem i ucieszeni byli, że trafiono nareszcie na ślad zbrodni, jak również że Nadermanowie będą mogli przyjść napowrót do posiadania swojej własności.

— Tylko niech tu nie przychodzą więcej — mówiła na pół żartem Amelia, biorąc za rękę Jana — i niech mi nie zabierają mojej własności.

Jan przytulił ją do siebie i pocałował w czoło; równocześnie uczuł, że usta Amelii, dotknęły jego ręki. Usunął ją prędko i rzekł z wyrzutem prawie:

— Dziecko, co robisz?

— Znak, że to moja własność — rzekła. Usta jej się śmiały a w oczach łzy miała. Była w dziwnem jakiemś usposobieniu tego wieczora, wesoła aż do pustoty, ale mało brakowało, żeby się rozpłakała. Jan z matką późno wieczorem odprowadzili ją do domu.

Na drugi dzień rano gruchnęła dziwna wieść po mieście, że w mieszkaniu żydówki odbyła się w nocy rewizya, że znaleziono mnóstwo skradzionych rzeczy i wskutek tego obie żydówki zaaresztowano. Wieść ta przechodząc z ust do ust rosła szczególniej w ustach niektórych plotkarek miejskich, do potwornych rozmiarów, mówiono już o jakichś trupach znalezionych w piwnicach, o jakichś podziemnych korytarzach, które ciągnęły się na pół mili, a któremi zbójcy dochodzili do miasta. Naczelnikiem tych zbójców miał być ojciec żydówki, a ona kochanką ich. Panna Zenobia dała na mszę ś-tą, że jej pan Bóg zdrowo i cało pozwolił wydostać się z tej jaskini zbójców.

— Mój Azorek — mówiła — czuł tam coś złego. Ile razyśmy tam wchodzili, doznawał biedaczek nerwowego drżenia. A i ta żydówka, o! jej coś nie dobrego patrzało z oczów; prawdy religijne nie przystawały do jej bezbożnej duszy, to była tylko hipokryzya, aby ma w pole wywieść i zamydlić oczy tym chrztem. To też sprawiedliwość boska nie przepuści jej bezkarnie tego grzechu.

Najwięcej jednak poruszyła ta sprawa dom burmistrza. Była to woda na ich młyn. Panna Aniela aż pod sufit skakała z radości.

— Dobrze mu tak, dobrze, niech teraz żeni się ze złodziejką. To się ubrał dopiero.

— A co, widzicie — mówiła pani burmistrzowa — ja zawsze mówiłam wypędzić tę żydówkę z miasta. Ona mi się zaraz niepodobała.

Trzebaby się zapytać pana Jana, czy ślub będzie w kryminale. O! chciałabym się teraz z nim gdzie spotkać. Mielibyśmy o czem rozmawiać — mówiła tryumfująca Aniela.

— Toż to pójdzie po nosie Leszczycom — odezwał się burmistrz. — Nie będą mogli pokazać się między ludźmi ze wstydu, że tak tę żydówicę protegowali, w domu u siebie gościli.

— E! Trafi swój na swego. Jabym tam trzech groszy nie dała, czy i oni w tej sprawie palcy nie umaczali. Żebym była komisarzem, tobym była wszystkich zaaresztowała.

— No, to znowu nie. Bo gdyby tak było jak mówisz, toby przecież syn Leszczyca nie dawał sam znać o tem do sądu.

— A kto ich tam wie, może się poprzeczali z żydami i przez zemstę to zrobili.

Kiedy tak rodzina burmistrzów obrabiała

con amore sprawę aresztowania żydówki, folgując w tem osobistej zawiści względem Leszczyców, przyszła ciocia z miasta i jako nowość zaczęła im opowiadać to samo.

— Wy tu siedzicie i o niczem nie wiecie a tam w mieście historye się dzieją.

— Ależ wiemy już, wiemy — odezwała się kwaśno Aniela.

— Jakto, o żydówce już wiecie?

— Wiemy, wiemy.

— I o trupach znalezionych.

— O jakich trupach? — spytał burmistrz.

— No, przecież znaleziono jakiś kufer w którym był człowiek.

— A cóżeś ty nam nic o tem nie mówił? — zainterpelowała żona burmistrza.

— Ależ to nie tak było. Dajżeż siostra spokój z takiem gadaniem.

— Ty jak widzę myślisz ich jeszcze bronić? — zawołała znowu małżonka.

— Ależ nie bronię, tylko po co bajki gadać?

— Kiedy ja sama słyszałam, jak na ulicy baby rozpowiadały sobie o jakimś kufrze i człowieku.

— No, to o tym kufrze właśnie w którym siedział złodziej ukryty, ale nie trup żaden. Kufer ten oddano między pakunki, a że się zamykał z wewnątrz, więc sobie złodziej mosterdzieju podczas jazdy otworzył kufer i dopiero witrychami majstrował sobie po cudzych kufrach przenosząc do swojego, co mu się zdawało, że warte tego.

— A cóż to za szelmowski pomysł — zawołała z oburzeniem pani burmistrzowa.

— A rzeczywiście dowcipni złodzieje, nie ma co mówić — pochwalił burmistrz, któremu się ta sztuka złodziejska nie na żarty podobała.

— I to podobno ojciec tej żydówki siedział w tym kufrze, prawda ojcze?

— To są domysły tylko. Kufer ten znaleziono w piwnicy i po nim doszli wszystkiego. Ten kufer zdradził całą tajemnicę. To tak się rzecz miała — dodał głośniej, zwracając się z tem specyalnie do siostry. Ale ciotka nie dała się przekonać i wciąż utrzymywała, że oprócz kufra znaleziono jakiegoś trupa, jakieś szkielety w łańcuchach. Wiadomość tę przyniosła ona z targu, gdzie właśnie była kuźnia takich potwornych wieści. Po całem bowiem mieście nie mówiono o niczem, tylko o tem zdarzeniu. Wszystkie uszy były w natężeniu, wszystkie języki były w ruchu.

W jednym tylko domu Leszczyców, nie mówiono nic. Wiadomość o aresztowaniu Amelii i odkryciu w piwnicach złodziejskich skarbów, przygniotła, zgnębiła całą familią i zamknęła usta. Siedzieli w ponurem milczeniu, każde zajęte swojemi myślami. Pierwsza Leszczycowa ośmieliła się wspomnieć Amelię.

— Biedna dziewczyna — rzekła — co ona tam cierpieć musi.

Jan i ojciec nie odezwali się nic na to. Po jakimś czasie Leszczycowa zapytała znowu męża:

— Nie wiesz, czy wolno się z nią widzieć?

— Nie wiem — odrzekł jej krótko.

Wstała, wzięła chustkę ze szafy i kapelusz. Syn spojrzał na nią posępnie.

— Gdzie chcesz iść matko?

— Do niej.

— Po co?

— Pocieszyć ją, dodać odwagi biednemu dziecku.

— Nie rób tego. Na co masz się kompromitować. My nie mamy już nic wspólnego z tymi ludźmi, z nią.

— Wszak sam mówiłeś, że ona niewinna, i ja jestem o tem najmocniej przekonana.

— Zawsze to córka złodzieja.

— Cóż ona temu winna? Czyż dzieci odpowiadać mogą za zbrodnie rodziców?

— Dlaczegoż nie? Jeżeli cnoty rodziców dodają świetności dzieciom i podnoszą ich wartość w oczach ludzi, to słuszna całkiem rzecz, że zbrodnie rzucają na nich hańbę.

Głuche milczenie zapanowało po tych słowach. Matka położyła chustkę na krześle i usiadła ocierając po cichu łzy.

— Córka kryminalisty, ha! to okropne — zawołał po chwili Jan, załamując rozpacznie ręce i rzucił się z jękiem na sofę.

Stary Leszczyc zbladł, spojrzał na żonę i odezwał się do niej zniżonym głosem:

— Słyszałaś? Co będzie gdy się dowie że sam....

— Cicho! — rzekła prędko Leszczycowa dając mu znak, aby milczał i z obawą spojrzała na syna i ciszej jeszcze dodała:

— Nie powinien o tem wiedzieć.

(C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Dokończenie).

Streśćmy teraz tę długą pracę. W całej Europie daje się dziś czuć potrzeba silnej władzy; jest to rękojmia niezależności i wolności. Nikt nie zaprzecza władzy tego, co jej zapewnia poszanowanie w kraju zarówno jak i na zewnątrz: armii, marynarki, dyplomacyi, skarbowości, prawodawstwa, wymiaru sprawiedliwości, wyższej administracyi i policyi. Bezwątpienia u wszystkich ucywilizowanych narodów domagają się, aby przedstawiciele kraju czynną prowadzili kontrolę nad zarządem, podatkowością i wojną; nasze długie klęski niepojednały nas z władzą nieograniczoną, lecz kontrola ta w niczem nie osłabia zwierzchniej władzy państwa. Gdy postanowienie raz jest powziętem, wszystko ugina się przed wolą najwyższą, gdy ona właśnie jest wolą kraju całego. Ten naród największej używa wolności, który raz zniewolony, najchętniej poświęca ostatniego człowieka i ostatni szeląg. Siła państwa zatem jest proporcyonalną do wolności jego. By się o tem przekonać, dość rzucić okiem na mapę Europy.

Lecz jednocześnie przekonano się także, że państwo dla osiągnięcia najwyższego stopnia potęgi, powinno być obarczonem tylko tem, co musi uczynić, niezbędnie, koniecznie, w przeciwnym bowiem razie znaczyłoby użyć sił wszystkich do sparaliżowania energii każdego z osobna, i zburzyć to co się niby buduje. Ztąd wypływa myśl określenia naturalnych granic państwa i zamknięcia go w takowych. Czy jest co wyższego i świętszego między urządzeniami ludzkiemi niż państwo, ten przedstawiciel narodowości i sprawiedliwości? — jest to uosobienie ojczyzny. Przekraczając zaś swoją dziedzinę, państwo staje się tyranią, staje się szkodliwem, zgubnem i słabem, nic go nie wstrzymuje, prawda, lecz nic go też i nie podtrzymuje.

Jakich więc swobód domagać się może obywatel? Wyliczyliśmy je już: są to te wszystkie, których przedmiot stanowią: sumienie, myśl i działalność osobnikowa. Nie ma w tem, powie ktoś, wielkiego odkrycia, nie ma ani jednego *ogłoszenia praw*, (déclaration), któreby nie zawierało wszystkich tych swobód. Są to zasady z 1789 r. Prawda, i jest to dowodem, że przez wszystkie nasze rewolucye przegląda życzenie tych wolności, lecz niechaj wolno nam będzie dodać, że wszystkie konstytucye obiecały nam takowe, lecz że żadna nam ich nie dała. Są to wspaniałe napisy położone na froncie gmachu, lecz nie ma Boga w świątyni noszącej jego imię. To co czcimy zamiast niego, Zwierzchnictwo, jest tylko widmem co nas oszukuje i ucieka przed nami.

Powtarzam raz jeszcze, że nie zapoznaję dzieła naszych ojców, szczerze pragnęli oni wolności, sądzili nawet, że ją utwierdzają. Zarzucam im tylko, że dotknęli zagadnienia ze złej strony, i że uchwycili tylko połowę jego. Nie napadam na żadną z rękojmi konstytucyjnych, jakich domagano się temu lat piętnaście, sądzę nawet, że nie dość daleko się posunięto, i że mianowicie bez rzeczywistej odpowiedzialności wszystkich pośredników władzy, i bez ograniczonej niezależności prasy, kraj nie może być w posiadaniu zupełnem wolności politycznej; lecz rękojmiom tym chciałbym dać trwałą podstawę, jednem słowem, chciałbym ażeby rękojmie te nie były czczą formą i wspierały prawa pełne życia. Te to prawa należy nam ustanowić. Gdy swobody prywatne zakorzenią się w obyczajach Francyi, w konstytucyi 1852 roku dość jest sprężystości, by się bez trudu nadała do wszystkiego, czego od niej żądać będzie mniemanie powszechne.

Lecz wolności te nadane krajowi, nie używającemu takowych, czyżby nie sprowadziły bezrządu? Ludzie nieufni! łatwo byłoby dowieść, że wolność dobrowolnie i w całości przyznana, nigdy nie zakłóciła spokoju Francyi, podczas gdy odmowa tych wolności była powodem prawie wszystkich naszych klęsk. Zresztą cóż strasznego jest w tem, czego żądają teraz? Czy domagają się anarchii i bezkarności? Nie, domagają się poprostu, aby sprawiedliwość zastąpiła administracyą i aby opieka państwowa ustąpiła miejsca odpowiedzialności obywatela. Odwoływać się do prawa, podnieść znaczenie sądownictwa, znaczy to, o ile mi się zdaje, dać dostateczne rękojmie pokojowi publicznemu. Zapobiegać, powiadają, lepiej jest niż odpierać, jest to paradoks porzucony nawet w wychowaniu. Zapobiegać dobremu by przeszkodzić złemu, znamionuje to dziecięcy wiek polityki. Jeżeliby trzymać się tego systemu brutalnego, świat zatrzymałby się nazajutrz po swem stworzeniu. Przeciwnie, należy powstrzymywać zło, dobru zaś zupełną pozostawić wolność. Czy to jest trudnem do wykonania? Środek znaleziony oddawna i coraz więcej zastosowywany w społeczeństwach ucywilizowanych, polega na odpowiedzialności, odpowiedzialności rzeczywistej, która nie krępując zacnego człowieka, groziłaby złemu, a w razie potrzeby nawet dotknęłaby je i powaliła. Niech odpowiedzialność ta będzie

*

ciężką, niech prawo będzie srogiem, a sąd surowym — nic nie szkodzi, prawo choćby najsurowsze lepszem jest niż samowola, choćby najłagodniejsza. Prawo jest znane, jednakowe dla wszystkich, pozostawia obywatelowi godność i niepodległość, nie zmusza go do praktyki, do uginania się lub do działania podług woli innych. Ztąd pochodzi słabość, jaką mają prawdziwie liberalni do sprawiedliwości, ztąd małe upodobanie do administracyi. Wolność i sprawiedliwość to dwa nierozdzielne terminy, pierwsze każe się domyślać i wywołuje drugą: pierwsza jest prawem, druga jest rękojmią. Są to dwie strony jednego medalu ze wspólnym środkiem i wspólnym promieniem.

Jestże to prawdą, że dziś mniemanie powszechne, jakkolwiek jest słabem, zaczyna się niepokoić temi wolnościami osobnikowemi? Niechaj czytelnik o tem sądzi. Mnie, prostemu spostrzegaczowi, zdaje się, że duch publiczny przebudził się; jeżeli się nie mylę, to w tę stronę zwracają się oczy. W ciągu dwunastu ostatnich lat nowe pokolenie wstąpiło na widownię świata. Pokolenie to nie ma naszych złudzeń i umartwień, nie ma także ani żalów naszych, ani wspomnień. Ludzie trzydziestoletni wiedzą tylko ze słyszenia czem była ta trybuna, co roznamiętniała ich ojców, nie wiem co myślą o rządzie parlamentarnym, z którego oglądali zaledwie szczątki. Lecz jakąkolwiek będzie myśl, którą sobie tworzą o przeszłości, to jednak jest pewnem, że w pełni cywilizacyi, wśród społeczeństwa żyjącego z pracy i umysłowości, niemożebnem jest, by ludzie ci nowi nie życzyli sobie wolności. Pojęcia i interesy czynią takową niezbędną. Wczoraj witano z uniesieniem wolność przemysłową, jutro zażądają wolności municypalnej. Życie religijne ze wszech stron się rozbudza, czyliż nie skruszymy resztek tych okowów, krępujących niemniej władzę jak obywatela? I jeśli każdy ze swej strony zażąda wolności tyczącej się jego osoby, czyż zajdziemy daleko nie przyszedłszy do przekonania, że wszystkie wolności wiążą się ze sobą, i że w nierozdzielaniu ich wspólny leży interes? Czy możebnem jest wielki przemysł, czy można przedsięwziąć większe jakieś sprawy, jeśli prasa nie może śmiało poruszać kwestyi politycznych, kontrolować wydatków, podawać nam głosy kraju co do pokoju i wojny, ganić i bronić administracyi i jej projektów? Czy wolność wyznaniowa nie pociąga za sobą wolności wychowania? Czem znowu będą te wolności, jeśli nie będziemy mieli prawa stowarzyszać się i łączyć? Do czegoż służą one, jeśli gmina nie może się zajmować ani kościołem ani szkołą? Im dalej zagłębimy się w dziedzinę praktyki, tem więcej czuć będziemy ile Mill miał słuszność, mówiąc, że sprawa swobód osobnikowych spoczywa na dnie wszystkich naszych starań, stanowi ona zagadkę żywotną przyszłości.

Dodajmy, że narody są między sobą solidarne, i że nigdy solidarność ta bardziej nie była widoczną, jak za naszych czasów. Nie ma odkrycia naukowego, przemysłowego, morskiego, wojskowego, któregoby sobie zaraz nie przyswoiły narody ucywilizowane, ich wielkość od tego zawisła. Kochajmy lub nienawidźmy naszych sąsiadów, musimy jednak wspólnem z niemi żyć życiem i jednym postępować krokiem. Odosobnić się — znaczy upaść. Czyliż inaczej miałoby się dziać z wolnością? Byłażby ona narzędziem, którym wolno pogardzać? Zobaczcie co się dzieje w Austryi. Mężowie stanu doznają tam tego, co Napoleon nazywał bezsilnością siły. By się obronić przeciw wznoszącej się fali, Austrya odwołuje się do tych samych urządzeń, które gniotła lat temu dwanaście, i które wczoraj jeszcze pozwalała znieważać dziennikom urzędowym i służalczym. Ileż byłaby oszczędziła sobie okrucieństw, nędzy i wstydu, gdyby wcześniej była pojęła to, czego wymaga dziś cywilizacya!

Czy państwo potrzebuje się lękać podobnych reform? Opierać się na ogólnym interesie, zachować dla siebie potęgę publiczną w całej jej nietykalności, zostać organem woli narodowej, lecz pozostawić interesa prywatne samym sobie, pozwolić im samym szukać zadość uczynienia jakiego nigdy im nie da najmędrsza nawet administracya, czyż to jest program, którego rząd przyjąć nie może? Jestże to polityka krótkowidząca, czy też polityka przyszłości? We Francyi, gdy mówią o wolności, każdy wnet sobie wyobraża bóstwo srogie, które nam przedstawiają w czapce czerwonej na głowie i z dzidą w dłoni; nie tego życzyli sobie nasi ojcowie, nie tego my się domagamy. Niechaj każdy z nas będzie panem swej myśli i swych czynów, i niech odpowiada za nie tylko przed trybunałem, niech nam przyznają udział w sprawach gminy, w sprawach, co są naszemi, niech przedstawicieli naszych dopuszczą do rzeczywistej kontroli spraw publicznych. Oto nasz ideał, nie ma w nim nic rewolucyjnego. Jest to ideał wszystkich zwolenników konstytucyi, począwszy od roku 1789, tego domagali się Mirabeau, Malouet, Clermont-Tonnere, Royer-Collard, Benjamin Constant, jenerał Foy, — jest to wszystko co Francya kochała, wszystko co Francya szanowała! Czyliż nigdy nie będzie rządu, któryby spełnił życzenie tak głębokie, tak prawowite? U nas polityka zawsze jest uzbrojoną, zda się jakoby państwo było w ciągłym pojedynku ze stronnictwami, namiętnościom ich, ich ideom przeciwstawia ono namiętności i idee wręcz przeciwne. Jest to walka zawzięta, kończąca się zwykle wspólną ruiną walczących. Nie w taki to sposób wznosi się trwałą budowę i zabezpiecza przyszłość. Pozostawcie stronnictwom ich namiętności, przyswójcie sobie ich idee, jeżeli takowe są słuszne i wzniosłe, a wkrótce rozbroicie i w szlachetny sposób zwyciężycie tych, których się obawiacie. Dla czego nie mamy wejść na tę drogę zbawienną, dla czego nie mamy uspokoić dusz, i z Francyi nareszcie uczynić jeden naród, jeden kraj? *Zawsze broniłem wolności innych*, mawiał Burke, szlachetną tę dewizę powinniby przyjąć wszyscy mężowie stanu. Ładnie jest przedstawić światu kraj bogaty i przemysłowy, armią bohaterską, marynarkę potężną, miasta upiększone, pomniki wspaniałe. Lecz jest coś godniejszego podziwu i coś wyższego nad wszystkie te cuda, jest to siła co je tworzy. Siłą tą, której nie można zanadto oszczędzać (w tem właśnie zawiera się cała tajemnica polityki), którą nadto wiele rządów zapoznaje i zaniedbuje, siłą tą jest osobnik, i jeśli jest jaka prawda dowiedziona przez naukę i wskazywana nam nieustannie przez historyą, to jest nią ta, że w religii, moralności, polityce, przemyśle, w naukach, w literaturze i sztukach człowiek bez wolności jest niczem.

Listopad 1860 r.

Edward Laboulaye.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
NA WSCHÓD
przez
J. z T. T-R.

(Dokończenie).

Mrok począł zapadać... księżyc drożył się jeszcze ze swem światłem, ukazując to kryjąc podtatusiałe oblicze po za chmury, za to w oddali, ujrzeliśmy łąki w płomieniach, które dały nam małe wyobrażenie o Savannach amerykańskich, z tą tylko różnicą, że tu dla użyźnienia umyślnie suchą trawę podpalają; nie zdołam jednak godnie opisać uroku tej wycieczki, bo zmęczenie przyćmiło rzeczywistą piękność obrazu, po woni rozlegającej się dokoła, poznaliśmy pomarańczowe ogrody, a więc już tylko pół godziny do celu. I gdy tak cieszymy się nadzieją prędkiego wypoczynku, spostrzegamy, że przewodnik pomija miasto i zupełnie w inną stronę naszą karawanę prowadzi, w istocie zdążał ku hotelowi zamiast do klasztoru i tak uporczywie obstawał, że dopiero silniejszym argumentem zmusiliśmy go do odwrotu; pochłonęła nam ta walka jeszcze jedną drogocenną chwilę, zastaliśmy klasztor zamknięty a na pukania nasze, z okienka piątrowego odezwały się głosy z zapytaniem po włosku: Kto? i czy katolicy? Zaraz nam otworzono i w tych samych co pierwej honorowych pokojach umieszczono nas na nocleg, a jutro statek Lloyda powiezie nas do Konstantynopola! Lecz dobrze to powiedziano: „l'homme propose Dieu dispose", bo oto już piąty dzień jak siedzimy niespodziewanie w Jaffie; morze sroży się i rzuca, co chwilę to w żółć to w szafir najpiękniejszy się przyobleka, a bałwany z trzaskiem przerzucają spienioną wodę przez kilkosążniowy mur nadbrzeżny, chroniący ulice od zalewu; żadna łódź nie ośmieli się na połów ryb oddalić... Spodziewany statek Lloyda widziano szybko pomijający skaliste brzegi Jaffy, by nie uledz losom licznych swych poprzedników. Najpoczciwsi Franciszkanie prócz nas mieszczą kilkanaście innych pielgrzymów i tyleż rozbitków; wszyscy oczekujemy uspokojenia fal rozhukanych. Okna i drzwi naszego pomieszkania wychodzą na wspólną wysoko po nad morze wspinającą się terassę; z tej, całemi godzinami wpatruję się w szeroko rozpostarte płótno, na którem mistrzowska ręka Stwórcy tak cudne rozrzuciła dzieła. Po chmurnym firmamencie przy odgłosie piorunów co moment przelatują błyskawice, topiąc swe zygzaki w otchłaniach morskich; deszcz z krótkimi przestankami prawie ciągle pada; o ironio! wśród tego potopu słyszałam głosy zadowolenia, że obfity zapas wody napełnia cysterny!

Niespodzianką było dla nas spotkać tu czcigodnego księdza Azbijewicza ze Lwowa, który już dłuższy czas bawi w Ziemi św. i żyje tu tylko figami i lemoniadą, pędząc dni swoje na postach i modlitwie. Wszyscy są tutaj dlań z wielkiem uszanowaniem i nazywają go świętym człowiekiem. W chwilach pogodnych odrywaliśmy księdza Azbijewicza od brewiarza i musiał z nami spieszyć nad morze i tam, ludzie tak odmiennych zapatrywań jak mój mąż i ksiądz Azbijewicz godzili się wspólnie w podziwianiu cudów natury i wielkości Stwórcy. W tych naszych wędrówkach wybrzeżnych po kostki brnęliśmy w najpiękniejszych drobnych muszelkach. Fra Paulo zwrócił naszą uwagę na drogocenne ślimaczki, które namoczone

w occie nabierają blasku perłowej macicy, z tych to ślimaczków wyklejają w klasztorze kropielniczki, ramy do obrazów i różańce robią, co stanowi dla oka prześliczną całość! Pewnego razu narzucił się nam chłopczyna dwunastoletni jako Cycerone, mówiący jak się tu często zdarza kilkoma językami, obiecał on nam dostarczyć najpiękniejszych muszelek i wskakując ze skały na skałę wśród morza zbierał takowe; z bogatym łupem powróciłam do domu; wyłożywszy go na stół spoczęłam w drugim pokoju; naraz słyszę spadające muszle na ziemię, nadbiegam i widzę cały mój zapas poważnie spacerujący po pokoju! Mały Cycerone odrywając muszle od skał zbierał je wraz z żyjątkami, które gdy się ze strachu ocuciły, wylazły ze skorupek i poczęły spacerować. Później spostrzegłam że Arabi roztłukując skorupkę żywcem te stworzeńka połykają. Wróciwszy ze spaceru zastaliśmy księdza Fra Paulo, przygrywającego smętne piosnki na fisharmonice, znajdującej się w naszem pomieszkaniu. Fra Paulo piastuje w klasztorze urząd szafarza, rodem Włoch, klimat zdrowiu jego nie sprzyja, często febrze podpada, żółty, wybladły w pół obwiśniętym kapturze, tęskniąc za krajem, łagodnie, cierpliwie z całą rezygnacyą wypełnia swe obowiązki. Wspomnienia ojczyste musiały silniej ogarnąć duszę jego, szukał osłody w narodowej piosence „Santa Lucia", owej cudnej barkaroli neapolitańskiej; melodya była nam znajoma, słów nauczyliśmy się od niego, rozweselił się naszem przybyciem, a gdy mój mąż przy akompaniamencie począł ruskie dumki śpiewać, to ów improwizowany koncert w późną szarą godzinę przeciągający się, ściągnął pod okna wszystkich pielgrzymów aż został przerwany wezwaniem sługi Maronity „*Signiore favorisca la cena*". Zawsze przychodził z latarką by nas po krętych schodach i korytarzach klasztornych sprowadzić na dół do refektarza na kolacyą. Był to czas wielkiego postu, dawano nam ciągle mięsne potrawy, dopiero ja uprosiłam o podciągnięcie nas pod regułę, czem uradowani Franciszkanie podali nam w całem tego słowa znaczeniu postną wieczerzę jako to: Zupa ryżowa bez masła, omlet przyrządzony bez masła, ryba smażona na wodzie, kawa po turecku i rozmaite owoce, jadło się z apetytem przy ożywionej pogadance z księdzem Azbijewiczem, bo w pierwszej klasie tylko nas troje zasiadało, obok w sali liczniejsza, druga klasa, gwarzyła hałaśliwie. Między pielgrzymami znajduje się także rodzina arabska; kobiety cisną się koło mnie gdy siądę z robotą na terassie; obsypują mię tysiącem zapytań, niezwykłem bowiem jest dla nich widzieć kobietę z igłą w ręku, bo one całe dnie spędzają bezczynnie.

Zajęła mię szczególnie jedna z nich młodziutka czternastoletnia niewiasta, która opowiadała mi bardzo złą francuzczyzną, przebieg krótkiego swego życia: od lat czterech jest już mężatką i matką trojga dzieci; co zresztą nie jest odosobnionym wypadkiem na Wschodzie, bo wiele kobiet zanim wyjdzie z dzieciństwa, wychodzi tu za mąż...

Zrobiliśmy także wycieczkę do kolonii niemieckiej tuż za miastem na północ Jaffy położonej i zaliczającej się do znaczniejszych. Niemcy zakupili tu większą przestrzeń urodzajnej ziemi, posiadają piękne ogrody, gospodarstwo prowadzą o ile klimat dozwala w sposób postępowy, odmienny od arabskiego, utrzymują hotel urządzony na wyższą stopę, mają nawet młyn parowy i własną piekarnię.

Niepodobna nam doczekać się momentu wyjazdu w dalszą drogę; kilka obcych statków lawirowało z daleka, jeden Lloyd płynący do Aleksandryi był się nawet tu zatrzymał na chwilę; wtedy gromadą rzuciły się łodzie z pakami pełnemi pomarańcz przygotowanych dla Europy i z narażeniem życia dostały się do okrętu; ale morze tak hulało, że Lloyd uciekł i połowa towarów powróciła na ląd. Spożywając u nas w kraju wyborne Jaffskie pomarańcze, nie myślimy jak drogo opłaca się każda niebezpieczeństwem, na jakie się narażają biedni wioślarze. Tu na miejscu 10 pomarańcz kosztuje cztery centy nasze a paczka mieszcząca 200 sztuk cztery franki; i gdyby nie mrozy, które w północnej Europie w obecnej porze panują, miałabym ochotę przywieść taką paczkę do domu.

Tak, w oczekiwaniu z dnia na dzień odjazdu, miłe tu spędzam godziny, w przyjemnie urządzonym saloniku, w którym prócz fisharmoniki znajdują się obrazy scen świętych, między któremi odszczególniał się obraz św. Magdaleny jakiegoś znakomitego pęzla włoskiego. Za szkłem były umieszczone fotografie osób, które doznały gościnnego przyjęcia w klasztorze, wśród kilkudziesięciu mężczyzn, znalazłam tylko kilka kobiet, przy których i moją fotografię umieściłam. Piękny duży zegar, dar rządu angielskiego, z napisem wyrażającym wdzięczność klasztorowi za podjęcie załogi angielskiego okrętu na brzegach Jaffy rozbitego, zdobi jedną ze ścian tego salonu. Tuż koło okna na terassie znajduje się sygnaturka, której dzwonek uwiadamia o rozpoczęciu każdej mszy w kaplicy na dole, dowoli zostawiono podróżnym uczęszczanie na nabożeństwa; jednak kaplica jest zawsze dosyć zapełniona, bo pobyt w klasztorze ułatwia skupienie ducha.

Zapomniałam wspomnieć, że opuszczając Jerozolimę przy pożegnaniu, czcigodny ks. Bielak zwany *Jucundinus* wręczył nam dyplomy, jakimi Franciszkanie zwykli obdarzać pielgrzymów do Ziemi św. przybyłych, tudzież oddał nam pakiecik mieszczący w sobie cząstki ziemi z różnych miejsc pamiątkowych, za co mu niezmiernie wdzięczną jestem, bo dar ten jest dotąd nietylko dla nas, ale i dla licznych naszych znajomych, najcenniejszym talizmanem świętości.

Koniec drugiej części.

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO
z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Ciąg dalszy.*)

Około godz. pierwszej po południu, usłyszeliśmy przed nami silną kanonadę, świadczącą o zaciętym boju, odbywającym się o jedną lub półtorej mili na przodzie, była to bitwa pod Iganiami, w której połowa naszego pułku udział brała, my zaś na placu stanęliśmy już samym wieczorem po zaprzestaniu boju. Bitwa ta była świetną dla naszego oręża, pułk 2gi ułanów i 4ty piech. lin. na prawem skrzydle pod gen. Prądzyńskim bój rozpoczęły i znakomicie się odznaczyły. Korpus ten przez godzinę czasu zostawał w bardzo kłopotliwem położeniu, bo Skrzynecki prowadzący centrum spóźnił się. Prądzyński później opowiadał, w jakiej był obawie, nie słysząc huku dział na środku i jakiej doznał radości, gdy usłysza strzały korpusu Skrzyneckiego. Wszystko szło jak najlepiej, lecz gen. Skarzyński na czas nie przybył przed nocą zdobyć pozycyi Pahlena i zmusić go do ucieczki, nie było koniecznie do tego sukcesu potrzebnej konnicy, a nocą Dybicz forsownym marszem złączył się z Pahlenem. Piękny plan gen. Prądzyńskiego stał się nieudałym pomimo wysilonego męstwa naszych żołnierzy i na drugi dzień wróciliśmy za Liwiec, by zająć wczorajsze stanowiska. Na naszym oddziale, to jest komendzie Jastrzębskiego tor bitwy wcale nie spoczywał, spóźnienie nasze było obojętnem, ale do spóźnienia się naszego przyczyniło się następujące zdarzenie: Gdyśmy na główny gościniec weszli, byliśmy wtedy w oddaleniu przeszło jednej mili od pola walki. Szose ciągnie się lasem, w tem miejscu wychodzi na wielki kwadrat pola i środkiem pola przechodzi tak, iż pole to dzieli na dwa prawie równe czworoboki. Ale gdy szpica nasza z lasu na to pole wychodziła, spostrzegliśmy ogromną kolumnę odciętej piechoty moskiewskiej; sądząc po ilości sztabowych oficerów, była to kolumna pułkowa w jedną kupę zbita, przy niej kilkunastu kozaków i kilka powózek. Kolumna ta o wiele silniejsza od naszych sześciu kompanii przeciągała to pole na poprzek. Opowiadał mi ówczesny porucznik, późniejszy kapitan Rzewuski, gdyśmy w kilka lat później o tem zdarzeniu rozmawiali, iż on chciał od razu z dział swych przywitać Moskali kartaczami, ale major Jastrzębski nie pozwolił; natomiast bardzo głośną komendą kazał major nasz nam się na brzegu lasu w kolumny półbatalionowe sformować, a działa były już odprzodkowane. Moskale nie dalej jak 150 kroków od nas oddaleni, zatrzymali się; wywiesili białą chorągiew, to jest białą chustkę na szpadzie pułkownika, i zaczęli się z nami układać. Por. Rzewuski podjechał naprzód, by z pułkownikiem Moskali parlamentować, i rzecz tak stanęła, iż Moskale się poddali. Chciał pułkownik szpadę ową por. Rzewuskiemu oddać, lecz ten szlachetny oficer szpady nie przyjął, mówiąc iż oddanie broni jest symbolem, gdy słowo jest nierównie ważniejszym zadatkiem umowy. Major nasz wykomenderował 8mą kompanię, to jest 4ty i 5ty pluton, w której i ja się znajdowałem, do otoczenia kolumny nieprzyjacielskiej, proszę sobie wystawić sensacyą, gdy nas garstka puściła się w rozsypkę dla otoczenia najmniej dziesięć, albo i więcej razy liczniejszego nieprzyjaciela trzymającego broń w ręku, nie czując za sobą jak tylko kilkuset ludzi. Wykonaliśmy to jednak z bardzo dobrą miną, kazaliśmy Moskalom broń bagnetami wbić w ziemię i od broni odstąpić, a potem wziąwszy jeńców między szeregi poprowadziliśmy ich do armii pod Iganiami, jedna kompania została do znoszenia broni na kupy i do strzeżenia takowej. Uważaliśmy, że żołnierze przyjęli niewolę z głupowatą obojętnością, oficerowie potrapieni; niektórzy mówili że są Polakami i że im ta wojna wstrętna; sztabowych oficerów było trzech czy czterech, ci zdawali się wyrzucać sobie, iż nie przekonawszy się o naszej małej sile, za skwapliwie układ poddania się zrobili. Kozacy byli w rozpaczy, gdy od nich konie odbierano.

Prowadząc tak licznego jeńca, spodziewaliśmy się bardzo dobrego przyjęcia w obozie, bitwa w tej chwili zupełnie przycichła; w istocie na nasze spotkanie wyjechał wódz naczelny, ale zamiast dobrego słowa, obcesowo zawołał „a sztandary gdzie? dla czego mi ich nie przynosicie"

i zaczął naszych dowódzców ostro upominać o niedbalstwo wyszukania sztandarów, które zdaniem jego Moskale musieli w lesie ukryć. Mały to dowód, że temu pełnemu próżności człowiekowi, fatalizmem zajmującemu stanowisko wodza, o nic tyle nie szło jak o sztandary i tym podobne trofea, aby się niemi w Warszawie mógł pochlubić; mniejsza o to, że wyprawa z winy jego się nie udała, byle się paru sztandarami pochwalić. Rzuciłem tu myśl winy Skrzyneckiego, tak jest rzeczywiście: po śniadaniu położył się i zaspał godzinę wymarszu i dla tego sam się spóźnił. Dalej co do gen. Skarzyńskiego, wiadomem było, że generał ten lubił się napijać, tak ważną komendę winien był Skrzynecki powierzyć innemu generałowi, lub dodać Skarzyńskiemu kogoś ze sztabu, któryby go był dopilnował.

Noc przepędziliśmy na placu boju, widzieliśmy na oko przeciw nam wyciągniętą linię kolumn piechoty nieprzyjacielskiej i odprzodkowane działa; lecz wszystko było w spokoju. Wojsko nasze zasłonione lasem udało się w marsz odwrotny, a około 3ciej po południu pułk nasz trzymający aryergardę nałożył wielkie ogniska i za armią podążył. Nocą doszliśmy do naszych stanowisk, i tam się obozem rozłożyli. Tu nadeszli rekonwalescenci naszego pułku i nieco rekruta, dla skompletowania szeregów, rekruci otrzymali białe płaszcze, gdy my mieliśmy szaraczkowe. Ta pstrokacizna niemiłe dla oka czyniła wrażenie; nie był to już pierwiastkowy pułkowy żołnierz. Każda kompania blizko o 20 ludzi wzmocnioną została.

W kilka dni potem Moskale puścili fintę, że stanowisko za Liwcem opuścili. Wskutek tej wiadomości około południa korpus się nasz przez Liwiec przeprawił; my piechota, to jest 3ci pułk i gwardya grenadyerów po belkach zepsutych mostów, kawalerya zaś w bród znów pod Suchą. Tymczasem Moskale chcieli nas w zasadzkę wciągnąć, ale im się ta sztuka nie udała, bo nasi generałowie wcześnie się spostrzegli i w czas cofnęliśmy się. Kosztowało nas to ze dwudziestu ludzi w zabitych i pojmanych.

Tym sposobem przeszedł cały kwiecień i początek maja, bezczynność przerwana wymarszem naszego pułku do Kałuszyna, a ztamtąd traktem na prawo prowadzącym po jedno czy dwudniowym marszu stanęliśmy w Pustelniku, na drugi dzień po świetnej bitwie naszej kawaleryi gdzie i młode pułki chlubą się okryły. Przestawszy tam dni parę, przesunęliśmy się po za tyły korpusu gen. Umieńskiego, i naraz znaleźliśmy się pod Sereckiem, gdzie przeszliśmy Bug. Łącząc się po drodze z różnymi pułkami, znaleźliśmy się w sile czterech pułków piechoty; to jest: 3ci, 6ty 14ty, 20ty pułki piech. lin. Z nami też trzymała się dywizya kawaleryi i kilka bateryi dział. Nad piechotą objęli komendę: gen. Kamiński dywizyoner; brygadą 3. i 4. pułku dowodził generał Krasicki, nosił się jeszcze w mundurze pułkownika, bo świeżo awansował; brygadą 6. i 20. pułku dowodził generał Zawadzki. Major nasz Jastrzębski awansował na podpułkownika. Którzy generałowie dowodzili kawaleryą, nie pamiętam. Nad całym korpusem komendę objął gen. Tomasz Łubieński. Korpus ten był prawem skrzydłem wyprawy, zwanej „Tykocińską“, przeciw korpusowi gwardyi dowodzonej przez W. K. Michała. Ciągnąc dalej przez Wysaków, Braki, rozłożyliśmy obóz pod Nurem około 16. maja. Nur, jest to miasteczko leżące na lewym brzegu rzeczki tegoż nazwiska wpadającej do Bugu. W tem miejscu woda głęboka, a brzegi spadziste jakby urwiska, a przeto niedostępne. Po za naszem obozowem stanowiskiem, ciąg błot w kierunku prostopadłym do rzeki się ciągnący, jakie to błota po grobli, nie daleko brzegów rzeki przeszliśmy. Były więc błota te na tyłach naszego obozu.

W Nurze znajdował się magazyn soli, jak wszędzie po drodze, tak i tu zastaliśmy małą komendę komunikacyjną, te komendy przed nami się usuwały, a w Nurze zapalili magazyn soli. Byliśmy jeszcze o dobre pół mili drogi od pożaru, a parzyła nas w ogniu stopniała sól, tak daleko bryzgi swe rzucała.

Wieczorem drugiego czy trzeciego dnia po zajęciu pozycyi pod Nurem, gdy się już dobrze zciemniło, kazano 2mu i 3mu batalionowi naszego pułku poskładać tornistry, i łącznie z kilkunastu szwadronami jazdy pomaszerowaliśmy nocą do Ciechonowca, tak że o świcie stanęliśmy na miejscu. Ciechonowiec o dwie mile od Nuru odległy, leży już na Litwie, był tam magazyn moskiewski pod strażą stukilkudziesięciu spieszonych kirysyerów. Magazyn ten to cel naszej wyprawy, prawie bez wystrzału zabraliśmy magazyn wraz z garnizonem; co się dało zapasów zabrać, zabraliśmy, kto z okolicy chciał co wziąć, było dozwolonem, a resztę przed odejściem tegoż jeszcze dnia wieczorem, spaliliśmy. Wyprawa ta dość prozaiczna, umilona była przyjęciem poczciwych Litwinów i Litwinek. Pełno tam w bliskości zaścianków szlacheckich i osad włościańskich, masy tych poczciwych rodaków naszych zbierały się, by oglądać wojsko polskie i przeciągłym litewskim akcentem, z dodatkiem „Panie Bracie“ serdeczne swe dla ojczyzny i dla nas uczucia z całą prostotą wypowiadali. Są tam ogromne pastwiska i chow bydła, naznosili nam tyle nabiału i różnego jadła, że kilka tysięcy ludzi będących przy dobrym apetycie, spożyć nie mogło, a na drogę nadawali nam tyle masła, kiełbas, że wróciliśmy na kilka dni zaopatrzeni w te przysmaki. Byłby obraził, ktoby był chciał zapłacić.

Spokoju naszego obozu nic nie przerywało dni kilka, nadszedł dzień Zielonych świąt, wysłuchaliśmy obozowe msze św. a było to podobno 22. maja. Czas był prześliczny majowy, noce ciepłe, dniami dogrzewało słońce, i właśnie gdy w najlepsze żołnierze w cieniu baraków wypoczywali, dały się słyszeć około godz. 4tej po południu od frontu strzały placówek. Oficerowie zaczęli wymyślać na kozaków, że obóz niepokoją, poszedł na nich jeden czy dwa szwadrony, jednak to strzelanie nie ustawało, owszem coraz bliższem było. Wojsko stanęło pod broń, nieprzyjaciel nie zbliżając się zaczął rzucać kule z dział trzyfuntowych, nie nacierał; z naszej strony nie chciano wywołać bitwy, trzymano się odpornie, to jest, stojąc w miejscu i odpowiadając z dział lekkiego kalibru. To droczenie się, bo inaczej tego nazwać nie umiem, trwało do zmroku. Lecz ażeby dać obraz pozycyi zajętej przez nasz korpus, powtórzyć muszę, iż prawem skrzydłem oparci byliśmy o nieprzystępny Nur, rzekę, w plecach mieliśmy ciąg błot do rzeki dochodzących a także nieprzystępnych, o czem wyżej wspomniałem, front i lewy bok zupełnie odsłoniony.

O zmroku zaczęły szwadrony jazdy i kolumny piechoty ciągnąć w lewo, a to w kierunku jak błota idą w górę. Wreszcie kolej przyszła na naszą brygadę. Postępowaliśmy w kolumnach w bardzo małych odstępach. Wtem na przodzie, przed nami wprost, dały się widzieć takie błyskania, jakby na węgle posypać rzadko ziarnka prochu. Słuch hukiem dział przygłuszony, strzałów nie dosłyszał, ale oko ono błyskanie spostrzegło. Dla młodego żołnierza było to zagadką, ale starzy żołnierze naszego batalionu zrozumieli, że jesteśmy otoczeni, że nam tył zabrano, że awantgarda utarczkę prowadzi. Jakoś niebawem, nadbiegło cwałem trzy przodki od dział bateryi konnej, które nie miały czasu dział zaprzodkować, tak raptownie konnica moskiewska zaatakowała. (Działa te zostawione, napotkał któryś z batalionów 3. pułku lin. w chwili gdy bagnetem przez zastępy moskiewskie się przebijał. Żołnierze działa te rękami uprowadzili, więc nie straciliśmy je, choć konie z przodkami odbiegły.) Nie było więc wątpliwości, że jesteśmy otoczeni. Rzeczywiście Dybicz spostrzegłszy iż przeciw niemu nad Liwcem tylko trzynasto tysięczny korpus gen. Umieńskiego stoi, domyślając się niebezpieczeństwa gwardyi, na pomoc tymże gwardyom z pod Sielec wyruszył, o trzy mile od Nura pod Granną Bug przeszedł, i nasz korpus otoczył, a potrzebował na to obsadzić dwie strony, bo rzeka na prawo, a z tyłu błota tu mu były ku pomocy. Winien gen. Umieński, w 13000 wojska zostawiony nad Liwcem by Dybicza obserwował, bo dopiero w trzy dni spostrzegł się, że Dybicz stanowisko opuścił; do tego niepostrzeżenia przyczynił się Mikołaj Kamiński z jazdy Lubelskiej, zawierzył on karteczce por. Rotermunda, którą z placówki na przodzie wysuniętej nad Liwcem, donosił swemu majorowi, iż słychać topory i piły, a ztąd wniosek, iż Dybicz przygotowuje przeprawę przez Liwiec. Takie doniesienia nie sprawdzone sprawiły, iż poruszenie Dybicza wiadomem nie było.

Gen. Łubieński dał rozkaz kolumnom, by wziąwszy działa i pociągi między siebie, bagnetem się przebijały i koncentrowały w Zambrowie. Piechota moskiewska dopiero nadciągała, a mieliśmy przeważnie z kawaleryą do czynienia. Pierwszym kolumnom łatwiejsze było przebicie się, bo i siły nieprzyjaciela więcej rozdzielone; im więcej zaś kolumn się już przebiło, tem na pozostałe więcej skoncentrowanych sił uderzało. W końcu został się tylko nasz, to jest 3ci bat. 3. pułku lin. trzymający aryergardę, obok nas stał batalion 14. pułku lin., w którym trzecie szeregi kosami były uzbrojone (mówi się o kosach, ale to zwykle były rzezaki od krajania sieczki na drążkach na sztorc osadzone), w tyle za nami dywizyon 5. pułku szaserów, i dwa działa po bokach batalionu naszego, a to tak blisko, iż lawety dotykały pobocznych czyli flankowych żołnierzy i kartaczami dawały ognia. Tu nastąpiła straszna szarża kawaleryi wszelakiej broni na obadwa bataliony. Trwała więcej jak kwadrans, zaledwie jeden szwadron odskoczył, zaledwie był czas broń nabić, zaledwie plac został wolnym, już drugi szwadron pędzi, a tak blisko dojeżdżali żeśmy bagnetami końskich pysków dosięgali, a 14ty pułk kosami ich krajał. W przeciągu kwadransu ze 20 szarży wytrzymaliśmy, i byliby dalej szarżowali, bo pod ręką mieli kawaleryi dostatek, gdyby nie wał, jaki się z ich trupów i pobitych koni sformował i dalszą szarżę uniemożliwił. Korzystając z przerwy odszedł 14ty pułk wraz z działami, został tylko nasz batalion i dywizyon szaserów. Lecz moskiewska piechota już nadciągnęła i gęsto nas kolumnami otoczyła. Artylerya nieprzyjacielska już ciężkiego wagomiaru silny przeciw nam rozpoczęła ogień, ale że to działo się w nocy, choć księżyc jasno przyświecał, nie widziała, iż my w kotlinie stoimy, zaczem wszyst-

kie pociski przenosiły. Szukając wyjścia robiliśmy poruszenia w różne strony, z tyłu błota nie do przebycia, a w każdą inną stronę, gdyśmy się kilkadziesiąt kroków posunęli, napotykaliśmy kolumny piechoty, gotowe by nam drogę zastąpić. Już zaczynaliśmy tracić nadzieję wydobycia się z tej matni, już widzieliśmy się jeńcami moskiewskimi, gdy nareszcie udało się pułkownikowi Jastrzębskiemu namacać jakąś grobelkę przez błota prowadzącą. W największej cichości kazał on szaserom naprzód wejść na groblę, a następnie swój batalion wprowadził, i tym sposobem od pewnej zguby wyratował oddział nasz.

Kawalerya nasza, naprzód z pod Nura wyprawiona, jakoś szczęśliwie i cało, pas otaczający nas przeszła; została piechota; — Dybicz parlamentował z gen. Kamińskim o poddanie się naszej dywizyi — uwiadamiając, iż zewsząd otoczeni jesteśmy. Przezacny Kamiński odpowiadał, że choćby tylko on sam i jeden tylko żołnierz został, to i w takim razie się nie podda. I rzeczywiście nie było racyi poddawania się, gdyż dał nam Bóg szczęśliwie i prawie bez żadnej straty z tej biedy się wyratować. Z naszego batalionu gdzieś się zapodziało dwóch żołnierzy, i służący Jastrzębskiego wraz z jucznym koniem. Gdyby byli Moskale o tej grobelce wiedzieli i takową obsadzili, byliby ostateczną aryergardą, to jest nasz batalion i dywizyon 5. szaserów schwytali. Nasze wymknięcie było dla nich faktem nieprzewidzianym, albowiem uszliśmy spory kawał drogi, a oni ciągle z dział bili w to miejsce, gdzieśmy obsaczeni stali, choć od godziny już tam nikogo nie było.

W Zambrowie korpus nasz skoncentrował się z rana, nasz batalion miany już jako stracony, nadszedł ostatni — przez Czyżów, Andrzejów posuwając się ku zachodowi przyszliśmy pod Śniadowo, i tam dzień przestaliśmy. Było to już połączenie z armią Tykocińską.

Podówczas wszędzie grasowała cholera — w moskiewskich obozach od dłuższego już czasu — w naszem wojsku, szczególnie w starych pułkach, mało co o niej słychać było; — jako zabezpieczenie przeciw zarazie, rozdano żołnierzom flanelowe napierśniki, które cały przód to jest piersi i żołądek okrywały. Co do naszego pułku, zdrowie było dobre — pod Chocimem tylko mieliśmy trochę chorych na zimną febrę, a w marszu do Pustelnika pierwsze pojawy cholery jakby sporadyczne się zdarzyły — na cholerę pierwszy umarł kap. Twarowski, adjutant pułkowy.

Pod Śniadowem przyjechał do naszego korpusu naczelny wódz — wystąpiliśmy — on pięknie a nawet rzewnie przemówił, a tą przemową pochwycił za serce żołnierza i nowej dodał otuchy, tak wielkie w nim zaufanie żołnierz pokładał, choć rzeczywiście marnował męztwo i zapał, i ciągłymi błędami, niewiarą w sprawę, nieudolnością czy złą chęcią paraliżował poświęcenie wojska, i do najgorszego rezultatu sprowadzał jenialne plany szefa sztabu, gen. Prądzyńskiego. Połączenie nasze z armią Tykocińską było tem, iż korpus nasz, Łubieńskiego, zajmował gościniec z Andrzejowa; zaś korpus Skrzyneckiego zajmował nieopodal idący gościniec z Tykocina. Te dwa goścince spływają się parę mil niżej pod Ostrołęką, czy w samej Ostrołęce dla przebycia tamże po moście rzeki Narwi. Po przebyciu mostu, gościniec warszawski idzie kilkadziesiąt sążni prosto, i tu łamiąc się w lewo w kąt prosty ciągnie się w kierunku rzeki płynącej do swego ujścia, równolegle od jej brzegów. O ćwierć mili od załamania się swego, gościniec przechodzi przez rzekę Omulew, która w tem miejscu linią prostopadłą do Narwi wpada. Proszę więc zauważać i zapamiętać, iż oba gościńce nasze wiodły nas ku Ostrołęce prosto, by po przeprawie przez rzekę wziąć za mostem idąc do Warszawy kierunek linii prostopadły do tej, którą obecnie korpusy nasze postępowały.

Powtarzam, iż pod Śniadowem staliśmy dzień cały — było to oczekiwanie nadejścia dziesięcio tysiącznego korpusu gen. Giełguda, który to korpus w wyprawie na gwardye trzymając lewe skrzydło, posunął się aż do Łomży, to jest najdalej, a gdy korpusy po zjawieniu się Dybicza cofać się poczęły, korpus Giełguda i spóźniony rozkaz otrzymał i najdłuższą do przebycia miał drogę, by się miał z główną armią połączyć.

Wieczorem, a było to dnia 25. maja, ruszyliśmy w dalszy marsz, i około godz. 1szej z rana w miejscu o milę od Ostrołęki odległem, w miejscu, gdzie po wyjściu z lasów napotyka się obszerne, na oba boki rozciągające się piaszczyste pola, stanęliśmy obozem z zapowiedzianym krótkim wypoczynkiem. Rzeka Narew, chociaż w tej pozycyi przerzyna lesistą okolicę, jednakże oba jej brzegi odkryte. Z lewej strony podnosząca się równina stanowi brzegi górzyste, z drugiej strony pas niezarosły lasem o połowę węższy był niski a nawet błotnisty.

Zapowiedziano, iż wypoczynek będzie krótkim, i że niebawem w dalszy marsz pójdziemy. Nasz pułkownik powiedział do żołnierzy: „kto chce jedzenie gotować niech gotuje, ale lepiej przespijcie się; ja sam się kładę“ — usłuchano i prawie ognisk nie rozkładano. Około godz. 6tej dały się słyszeć strzały w lesie — strzały naszych pikiet. Sztabowcy generalscy rozbiegli się między kolumny, mówię: „nie ruszać się wiara, to kozaki nas niepokoją, konne placówki ich odeprą“. Wkrótce gdy strzelanie nie ustawało, wykomenderowano batalion 6go pułku lin. do lasa— lecz zanim tenże do lasu dotarł, naraz zaczął się cofać. Tu cały korpus stanął pod broń; z lasu ukazali się moskiewcy tyralierowie a za chwilę już działa grać zaczęły.

Przytoczyłem zachowanie się naszych dowódców w czasie wypoczynku, jako dowód, że się w tym dniu, to jest 26go maja, bitwy staczać nie spodziewano.

Korpus wysławszy tyralierów do odstrzeliwania się zaczął się cofać ku Ostrołęce — cofanie to odbył w jak najlepszym porządku i jak najwolniej, zapewne dla tego, ażeby dać czas kawaleryi, artyleryi i pociągom most przebyć.

Między 9tą a 10tą godziną zaczęliśmy wchodzić do Ostrołęki, my od prawego, a od lewego korpusu z Tykocina wracający. Pułk 3ci trzymał aryergardę naszego korpusu — tamtego korpusu pułk 4ty lin. i weterani, i oni to ostatni na most, równo z wdzierającymi się Moskalami wchodzili. Moskale tyralierami i ogniem działowym okrótnie nas naciskali.

Do przeprawy przez rzekę było dwa mosty, jeden na słupach, przeznaczony dla nieprzeprawionej jeszcze artyleryi, kawaleryi i pociągów, drugi pontonowy dla piechoty; gdy pomiędzy 10tą a 11tą god. przyszła kolej na nasz pułk, rozległ się głos, iż most pontonowy się zatopił, a tu most na słupach zapchany konnicą i artyleryą. Mimo tego nieprzewidzianego wypadku, porządek się nie zachwiał — nastąpiło tylko opóźnienie w przeprawie. Nasz batalion ostatni się z naszego skrzydła przeprawił, za nami już tylko tyralierowie 4go pułku lin. i weteranów, a równo z nimi Moskale. Skrzynecki tak stracił głowę, rozkazami tak krzyżował, iż właściwie nie było rozkazu; każdy robił to co uznał za dobre. Pułkownik artyleryi Piętka bez rozkazu ustawił swe działa przed mostem i ogromną dywersyą zrządzał Moskalom w przeprawie. Tak samo p. pułkownik Jastrzębski bez rozkazu ustawił nasz batalion w asekuracyi bateryi Piętki. I dość długo tak było, zanim w pewien szyk i ład kolumny rozprowadzono. Korpus Skrzyneckiego od mostu rozwinął się w lewo — i stanowił lewe skrzydło — nasz zaś od mostu na prawo, i stanowił prawe skrzydło armii. Cała armia ustawiona na błotnistych łąkach prawem skrzydłem sięgała po rzeczkę Omulew, plecami opierała o las, przed nami rzeka Narew, a za rzeką Ostrołęka i jeszcze za rzeką, ni to umyślnie urządzone bateryе, wysokie wzgórza, które stanowiły lewy przez Moskali zajęty brzeg Narwi. My zaś, to jest prawe skrzydło, mieliśmy między naszą linią a rzeką gościniec warszawski, który jak pierwej powiedziano, wprost mostu w kąt prosty się łamie. Jaka była nasza droga odwrotowa? Gościniec do Warszawy — proszę w pamięci zaznaczyć, iż linia bojowa nie po obu bokach drogi odwrotowej, jak zwykle bywa, ale w kierunku tej drogi i wzdłuż tej drogi ustawioną została, a ztąd ewentualność, iż w razie przełamania prawego skrzydła, droga odwrotowa dla armii stracona, sama zaś armia odcięta. W tak niebezpiecznem położeniu znajdowało się dnia tego wojsko nasze biorąc udział w bitwie pod Ostrołęką, a była to większa połowa sił naszych. Prócz tego staliśmy odkryci, jak na dłoni, gdy przeciwnie Moskale zakryci wzgórzami drugiego brzegu rzeki i te wzgórza dawały doskonałą pozycyą dla ich artyleryi. Pod każdym względem położenie nasze było najniekorzystniejsze — do tego bezład w Skrzyneckiego głowie— jak to się mówi — całkiem on ją dnia tego utracił. Prądzyński rozgniewany i rozżalony, że Skrzynecki wszystkie jego doskonałe plany zniweczył, odjechał za front, i zawiązawszy głowę chustką w lesie się położył i radzić nie chciał. Męstwo więc żołnierza wszystko zastąpić, wszystkiemu podołać musiało. I dość długo tak było. W końcu naleganiom wodza ustępując Prądzyński, dał mu następującą radę: „przepuść połowę piechoty moskiewskiej przez most, a wtedy całą siłą na nią uderz, wybij, w rzece wytop lub zabierz; innej rady dać nie umiem, ale i ta dobra, tylko ją wykonać chciej.“

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE „TYGODNIA.“

Wschowa. W sierpniu 1878 r.

(*Dokończenie*).

(Górny Szląząk ożywił się. — Karol Miarka — Ks. Przyniczyński. — Karl Emil Franzos. — Victor Blüthgen. — Jerzy Ebers (homo sum). — Włoski pessymizm. — Giov. Rizziego (Rizzi) broszura. — Ernest'a Renan'a Caliban. — Z Wielkopolski.)

Nie tak Wiktor Blüthgen, także słynny nowelista niemiecki, który nie ma tak głośnej jak Franzos sławy, ale przewyższa go o całą wartość głębokiego psychologa i tragika Kto chce poznać iście realistyczną nowelę, niech sobie przeczyta ostatnią pracę Blüthgen'a „Die schwarze Kaschka“. Przedmiot tego utworu jest ogólno ludzki, bo psychologiczny, jak zwykle u artystów pierwszorzędnych. Tłem — miłość

niemieckiego chłopa i czeskiej wieśniaczki. Autorowie, wybierający takie temata, pisali zwykle sielanki słodkie w rodzaju Auerbachowych. Tego Blüthgen nie czyni. Maluje uczucie namiętne prostych serc, które nie gorąco, ale też dziko kochają bez dodatku rozumowych czynników. Jako kolizya nadchodzą stosunki zewnętrzne ubóstwo wydziedziczenie bohatera przez ojca, chłopa-arystokratę, który nie chciał pozwolić na małżeństwo z jakąś tam przybłędą, jako zewnętrzny motyw przyłącza się nieusprawiedliwiona zazdrość i konflikt tragiczny jest skończony. Bohater rani rywala śmiertelnie, myśli że zabił, topi się sam, a żona „Czarna Kaśka“ traci rozum. Wszystko tu proste, naturalne, a przecież potężne, jak obraz Gabryela Max'a, wiedeńskiego malarza. Poruszam tylko tę pracę, podając imię autora do wiadomości, bo na ocenę, raczej (jak w tym razie) na dytyramb nie ma kronikarz miejsca.

Mówiąc już raz o powieściopisarstwie niemieckiem, chcę zwrócić uwagę na ostatnią powieść Jerzego Ebers'a „homo sum“, profesora lipskiego uniwersytetu, która już w końcu przeszłego roku wyszła. Nie przypominam sobie, aby gdziekolwiek w Polsce o tej powieści obszerniej pisano, a przecież wartoby, bo stanęła ona w niemieckiej literaturze na przełomie między dogorywającym do reszty romantyzmem, a nową epoką realizmu w sztuce. Romantyzm przeminął, misyą swoją spełniwszy, wiemy o tem wszyscy, realizm górą! prawi mały i wielki, a podobno najgłośniej tacy, którzy wcale nie wiedzą, co to realizm. Inaczej być nie może, bo w epokach przejściowych, jaka dziś również nadeszła, tylko autorowie mogą zdać sprawę z kierunku nowej idei, a krytyka dopiero z ich utworów później definicye swoje wyciągnie. Powieść Jerzego Ebers'a jest pierwszym, samowiednym poematem realistycznym w literaturze, bo jeszcze Gutzkow i Spielhagen do epigonów romantyzmu należą, choć ostatniego krytyka realistą zrobiła. Homo sum: humani nil a me alienum puto, otóż motto tej powieści i cała jej osnowa. Jesteś człowiekiem i zostań nim, bo nie wolno wyrywać się w jakieś zaświatne regiony, kędy nie ma powietrza dla płuc śmiertelnych. Powieść Ebers'a jest studyum filozoficznem, raczej psychologicznem i dla tego jest własnością nie samych Niemiec, ale całego cywilizowanego świata, jak wszystkie dzieła, których nicią przewodnią lub rezultatem, idea ogólno ludzka. Zajmującego opowiadania, ciekawej intrygi nie może się czytelnik po takiej pracy spodziewać, bo się też powieści tego rodzaju dla pospolitego czytelnika nie pisze. Powieść tę powinien każdy literat, krytyk i estetyk uważnie odczytać, bo przemawia z niej program na przyszłych lat kilkadziesiąt. Pomijam ją krótko, z miejscem się licząc.

Już nowe słońce wiary, nadziei i miłości do życia i w życie nad ludźmi wschodzi, ale gwiazda ta nie jest jeszcze każdemu oku widna. Zgniłe i cuchnące widmo absolutnego pessymizmu przechodzi z teoryi w praktykę, z komnat badaczów między ludzi pospolitych czyli małpujących krytykę, wielkie słowa wielkich mistrzów, jak Salomon Schoppenhauer i von Hartmann stały się własnością maluczkich pisarków i poetków, którzy resztkami wielkiego światła zwykle przez lat kilkadziesiąt błyszczą niby spróchniałe wierzby aż nowa gwiazda mniejsze płomyki olśni, płosząc. Stare to dzieje. Nie będziemy się o to spierali, czy pessymizm ma racyą bytu; musi mieć tę racyą, kiedy się już kilka razy powtarzał, ilekroć ludzkość na rozstajnych drogach stanęła: dokąd teraz? pytając, musi być wypływem ludzkiego myślenia, kiedy jest. Chodzi o to, czy jest praktyczny dla ludzi, czy służy życiu? Odpowiedź będzie prosta: nie! A ponieważ jest niepraktyczny, dlatego nie powinien znaleźć w życiu zastosowania, choćby był w teoryi jedynie prawdziwym systemem. Życie jest nędzne, prawda, ale żyć już raz musisz i będziesz, przeto o uszlachetnienie tego życia starać się trzeba, zamiast je rozmyślnie zanieczyszczać. I tak dość brudu; aż za wiele. Taki Schoppenhauer i Hartmann będą wiecznie jako teoretycy, wprost też nie szkodzą, bo rodzą ostatecznie ascetyzm, taki Giacomo hr. Leopardi, największy pessymista nietylko w poezyi włoskiej, ale i całej ludzkości, nie sprawia także nic złego, bo ani jego ani pierwszych wielkie gros ludzi nie czyta, a ci, którzy ich studyują, mają dość samowiedzy, ale szkodliwą jest ta cała tłuszcza ostatniorzędnych pisarków, co pochwyciwszy jakąś myśl, nie dobrze pojętą, z całości wyrwaną, obrabiają ją „popularnie“ dla koła pospolitych czytelników. Ależ to moda, a moda sławę daje i pieniądze. Ztąd wyrodził się ze spuścizny pessymistów filozofów cały legion maluczkich epigonów, z których się bodaj ani jeden teoryi dobrze nie przypatrzył, bo to trud. Targi lipskie zasypane są od lat kilku elukubracyami, których tytuły przypominają epokę makaroniczną z owymi pistoletami na zabicie grzechu śmiertelnika, owej ścierki i t. d... Miękkie takie lamenty płyną w bezwiedne, słabe lub nieprzygotowane umysły z wielką łatwością. A skutek jaki? Ludzie stają się jeszcze nikczemniejszemi kreaturami, aniżeli dotąd byli, bo podłości wszelkie i samolubstwa umieją uniewinnić teoretycznym frazesem.

Pessymizm ten zdawkowy przenika stosunki społeczne, zatruwając resztę szlachetnych poglądów, które doczesnemu życiu wyższego blasku udzielają. Z Niemiec przeszedł obecnie do Włoch, a nawet we Francyi się ukazał, choć praktyczny zmysł, Francuzów przed ekstremami zasłania. Czy pessymizm, rzeczywiście między ludźmi niepotrzebny? Jest on jako krytyka ludzkich czynności i pojęć najgłówniejszym wynikiem postępu, ale dopóki jest krytyką, bo z chwilą, w której się zamienia w absolutną negacyą, zaczyna być śmiertelną trucizną. Trucizną taką jest dzisiejsza modna literatura Niemiec i Włoch. Zważywszy szkody, jakie taki kierunek przynosi, trzeba wszelkie objawy dodatnie z przyjemnością zaznaczyć. Oczyszczenie powietrza literackiego we Włoszech z tych zgniłych pierwiastków podjął się profesor medyolański, Giovan. Rizzi w broszurze: Un Gvido. Versi di Giov. Rizzi. Milano (Brigola) 1878 r. Wyszydza on w tej pracy nadzwyczaj dowcipnie ckliwe lamenty Weltschmerzu i temuż pokrewnego pseudopessymizmu. Przytacza kilka sonetów własnego wyrobu, imitacye szydercze wykrzykników modnych. Walczy za idealizmem przeciw materyalizmowi i poleca jako lekarstwo religią. Czy lekarstwo jego dobre? nie jest rzeczą kronikarza sądzić.

W podobnym guście napisał Ernest Renan, znany autor „Życia Jezusa“, fantastyczny dramat, który, jak tytuł podaje (suite de la tempête) ma być dalszym ciągiem „Burzy“ Szekspira. Dramat to fantastyczny, nie liczący się z wymogami sceny, na której by też był niemożliwy. Autorowi chodziło tylko o ubranie osobistej idei w jakieś szaty, a uwidziało mu się, aby te szaty były dyalogiem dramatycznym. Co do samej idei, która przebija wszędzie, chce Renan dowieść, że wszystkie cele szlachetniejsze, choćby najszlachetniejszego człowieka ustąpić muszą przed zwycięską nikczemnością, że tylko zbrodnia, byle śmiała, na ziemi panuje. Dalej persyfluje autor socyalizm, a w końcu całą ludzkość. Ta sama tedy zwrotka.

— Wiecie już z dzienników, że są wybory w Niemczech, a więc i w Wielkopolsce, niemieckiej (?) prowincyi się skończyły, ale nie wiecie może, że ta Wielkopolska, kraju naszego gniazdo, rzeczywiście zaczyna być niemiecką prowincyą. Toć głosiły pisma niemieckie z powodu wyborów, że Poznań należy do starych dzielnic Germanii, wołały do wyborców napływowych: stańcie wszyscy jako jeden mąż przy urnie, i dowiedzcie „wrogom“, obcokrajowcom (sic), że wam większość inteligentnych głosów daje prawo do ziemi, którą uznoiliście krwawym potem. Niemcy rozwinęli dzielną agitacyą. Księstwo stało się na kilka dni przed wyborami biurem policyjnem, a najmniejszy chłopaczek germański policyantem. I.. smutno powiedzieć, znów nam jeden głos na sejmie wydarli, jak nam wydzierają piędź ziemi po piędzi, aż... lepiej nie mówić... Och...

T. Jeske-Choiński.

ODPOWIEDŹ

w albumie.

Nie zazdrość, dziewczę, orłom ich lotu,
Ni mężom dzielnych ich prawic;
Orłowie żyją w krainie grzmotu,
Kąpią się w ogniu błyskawic.

A ich dziedzina szczęścia nie wróży,
Dzika, nie chwyta za serce,
Oni tam żyją w poświstach burzy,
W ciągłej żywiołów rozterce.

Ciebie tu pieszczą ojczyste niwy,
I serca ludzkie i dłonie;
A orzeł, nie sądź, by był szczęśliwy
W swojej monarszej koronie.

On król — i wszystko zda się go słucha,
Wszystko uwielbia go w szale —
A w okół niego — patrz! pustka głucha,
I on samotny na skale.

Nie zazdrość orłom... kto dla mamideł
Pędzi ich szlakiem — ten błądzi...
Miarą wielkości, nie miara skrzydeł,
Lecz to co lotem ich rządzi.

Nie z wyżyn, których podstawa krucha,
Choć toną we mgle obłoków:
„Lecz z pieczar ziemi i z pieczar ducha,
Szły głosy pańskich proroków!“

Nuć jak skowronek — witaj nad strzechą
Wschodzące słońce i zorze —
A za twą pieśnią ujrzysz z pociechą,
Jak rolnik glebę zaorze.

I piosnka twoja nie zginie marnie,
Bez echa nie spocznie w grobie —
I orły same — plon widząc w ziarnie,
Zazdrościć będą jej tobie!

Władysław Bełza.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

IV.

W sieni małego domku Deberlów, Piotr we fraku i w białej krawatce stał przy drzwiach i otwierał je przed każdym zajeżdżającym powozem. Kłąb wilgotnego powietrza wdzierał się wówczas, i żółtawe światło dżdżystego dnia oświecało wązki przedpokój, zawieszony portyerami i napełniony zielonemi roślinami. Zaledwie druga godzina biła, a już mrok począł zapadać, jak w smutny, zimowy dzień.

Ale jak tylko służący otworzył drzwi do pierwszego salonu, żywe światło, bijące z niego, olśniewało wchodzących. Spuszczono w nim żaluzye i starannie zasłonięto firanki tak, że żaden promień dziennego światła nie wciskał się z dworu; mnóstwo lamp i świec, palących się w pająku i ściennych kandelabrach, oświecało go à giorno. W głębi saloniku którego obicia koloru rezedy przyćmiewały trochę ten blask, widać było sąsiedni wielki salon, czarny ze złotem, który jaśniał z daleka, ozdobiony jak na bal, dawany zwykle przez panią Deberle, każdego roku w styczniu.

Dzieci zaczęły się już zbierać; Paulina ustawiała jeszcze krzesła w szeregi przed salą jadalną, której drzwi wyjęto, a na ich miejsce zawieszono czerwone portyery.

— Papo — zawołała — chodźże dopomódz! nigdy nie dojdziemy z tem do ładu.

Pan Letellier, który z założonemi w tył rękami przypatrywał się pająkowi, pospieszył córce na pomoc. Paulina sama przynosiła krzesła. Posłuszna siostrze miała na sobie suknię białą, tylko wycięła ją z przodu w kwadrat, obnażając szyję.

— Nareszcie, skończyliśmy — rzekła; — mogą przychodzić... Co też sobie myśli Julia, że tak długo ubiera Lucyana?

Właśnie w tej chwili weszła pani Deberle, prowadząc małego markiza. Wszyscy obecni wykrzyknęli z zachwytu na jego widok. Oh, jakiż on śliczny w tym swoim fraczku z białego atłasu w bukieciki, w wielkiej kamizelce, haftowanej złotem i spodniach jedwabnych koloru cerise! Podbródek i rączki tonęły między koronkami. Szpada, prawdziwe cacko, ozdobiona wielkim różowym węzłem, uderzała po biodrze.

— No, idź przyjmować gości — rzekła mu matka, prowadząc chłopaka do pierwszego pokoju.

Od tygodnia już uczono go tego. Stanął teraz przy drzwiach z minką od niechcenia, odrzucił trochę w tył główkę upudrowaną, a trójkątny kapelusz wsunął sobie pod lewą pachę; jak tylko wchodziła, która z zaproszonych dziewczynek, kłaniał jej się, podawał ramię, odprowadzał na miejsce, znowu kłaniał i wracał do drzwi. Śmiano się do koła, patrząc na jego poważną minkę, troszkę zuchowatą. I tak prowadził Małgorzatę Tissot, dziewczynkę zuchowatą, w ślicznym kostiumie mleczarki, ze skrzynką do mleka, zawieszoną u paska; tak przyjmował dwie małe Berthier, Blankę i Zofią; jednę przebraną za błazna, drugą za subretkę; uczepił się także Walentyny de Chermette, dziewczyny lat czternastu, którą matka zawsze ubierała za Hiszpankę; a tak wyglądał szczupło przy niej, że zdawało się, iż ona go unosi, a nie on ją prowadzi. W szczególnym wszakże znalazł się kłopocie za wejściem rodziny Levasseur, złożonej z pięciu panien, które uszykowały się stosownie do wzrostu swego; najmłodsza miała zaledwie lat dwa, najstarsza dziesięć. Wszystkie pięć miały kostium czerwonego-kapturka; ubrane były w czepiec i suknię atłasową pąsową w pasy aksamitne czarne, a na niej wielki fartuch koronkowy. Lucyan, popatrzywszy na nie, po krótkiem wahaniu zdecydował się nagle, rzucił swój kapelusz, wziął dwie najstarsze dziewczynki prawą i lewą ręką swą, i wkroczył do salonu, a zanim weszły trzy pozostałe siostry. Ubawiono się tą sceną; on zaś nie stracił bynajmniej tej pewności siebie, z jaką udawał dorosłego mężczyznę.

Tymczasem pani Deberle łajała w kąciku siostrę.

— Czy podobna tak się wygorsować! — mówiła do niej.

— Cóż to szkodzi! papa nic nie powiedział — spokojnie odrzekła Paulina. — Jeżeli chcesz, przypnę tu sobie bukiet.

Zerwała garść kwiatów naturalnych z kosza i wetknęła je sobie za piersi. W tej chwili zaczęły się pojawiać panie, mamy w wielkim wizytowym stroju, i otoczyły panią Deberle, winszując już teraz tak świetnego balu. Spostrzegłszy przechodzącego Lucyana, matka go zatrzymała i poprawiła mu promień upudrowanych włosów.

— A Joanna? — zapytał.

— Zaraz przyjdzie, kochaneczku... Uważaj, żebyś nie upadł... Spiesz się, oto mała Guirand... Ach! przebrana za Alzatkę.

Salon zapełniał się powoli; zajęto już prawie wszystkie krzesła, stojące rzędem naprzeciw czerwonej firanki i hałas dziecinnych głosów podnosił się coraz wyżej. Chłopcy wchodzili gromadkami. Było już trzech arlekinów, czterech poliszynelów, jeden Figaro, Tyrolczycy, Szkoci. Mały Berthier miał kostium pazia. Mały Guirand, chłopaczyna, mający wszystkiego półtrzecia roku, tak śmiesznie wyglądał w swoim kostiumie pajaca, że kto go spotkał na drodze, to chwytał i całował.

— Otóż i Joanna — rzekła nagle pani Deberle. — Prześliczna!

Tu szmer powstał, głowy przechylały się wśród lekkich wykrzykników. Joanna zatrzymała się na progu pierwszego salonu; matka jej jeszcze w przedpokoju zdejmowała swe okrycie. Dziewczynka miała na sobie dziwaczny, a zarazem przepyszny strój Japonki. Suknia, haftowana w kwiaty i niezwykłe ptaki, spadała aż do nóżek, które zakrywała; po niżej szerokiego paska, z po za rozchodzących się pół, widać było spodniczkę jedwabną zielonawą, mieniący się w żółty odcień. Delikatna jej twarzyczka dziwnego nabrała wdzięku przy wysoko upiętych włosach, przeszytych długiemi szpilkami; podbródek i oczy, przypominające kozę, wązkie i błyszczące, nadawały pozór prawdziwej córki Yeddo, koło której rozchodził się zapach benzoesu i herbaty. I tak wahająca się i z chorobliwym wyrazem osłabienia, stała w oświeconych drzwiach pokoju, jak gdyby kwiatek przyniesiony z daleka i marzący o rodzinnym kraju.

Za nią ukazała się Helena. Obie, przechodząc nagle z bladego światła ulicy do żywego blasku sztucznego oświecenia, mrugały powiekami jak olśnione, ale uśmiechały się zarazem. Ciepłe powietrze, zapach salonu, w którym górowały fiołki, trochę tamował im oddech i rumienił świeże policzki. Każdy gość miał wchodząc takiż wyraz zadziwienia i wahania się.

— I cóż! Lucyanie! — rzekła pani Deberle.

Chłopak nie spostrzegł był Joanny. Rzucił się teraz ku niej i chwycił za rękę, zaponinając o ukłonie. Oboje byli tak delikatni, a strój ich tak wykończony aż do szczegółów, mały markiz w swym fraczku w bukieciki, Japonka w swej sukni haftowanej purpurowo, że można było porównać ich do dwóch figurek z porcelany saskiej, delikatnie pomalowanych i pozłoconych, a które nagle ożyły.

— Wiesz, czekałem na ciebie — szepnął Lucyan.—Nudzi mię to podawanie ręki... Nieprawdaż? zostaniemy tu razem?

I usadowił się z nią w pierwszym rzędzie krzeseł. Zupełnie zapomniał o swych obowiązkach gospodarza domu.

— Na prawdę byłam już niespokojna — powtarzała Julia Helenie.—Bałam się, czy Joanna nie zasłabła.

Helena tłumaczyła się; tak trudno poradzić z dziećmi. Stała jeszcze w jednym rogu salonu w gronie pań, kiedy uczuła, że doktor zbliża się ku niej. W istocie, wszedł był właśnie, usuwając czerwoną firankę, za którą znowu przechylił głowę, wydając jeszcze jakiś rozkaz. Nagle zatrzymał się. I on także odgadł obecność młodej kobiety, która się jednak nie była odwróciła. Ubrana w czarną grenadinę była po królewsku piękna, jak nigdy. Zadrżał od tej świeżości, którą przyniosła była z sobą ze dworu, a która zdawała się pochodzić z jej ramion i rąk, jak gdyby obnażonych pod przezroczystą materyą.

— Henryk nikogo nie widzi — rzekła Paulina, śmiejąc się. — Dzieńdobry, Henryku.

On się zbliżył wówczas i pozdrowił panie. Panna Aurelia zatrzymała go na chwilkę, pokazując swego siostrzeńca, którego była przyprowadziła z sobą. Przez grzeczność Henryk stał przy niej. Helena, nic nie mówiąc, wyciągnęła do niego rękę obciśniętą w czarną rękawiczkę; nie ośmielił się ścisnąć jej nadto mocno.

— Jakto! ty tutaj! — zawołała pani Deberle, pojawiając się w salonie. Szukam cię wszędzie... Już blisko trzecia; możnaby zacząć.

— Zapewne — odrzekł. — Zaraz.

Salon był pełny. Rodzice w wizytowych ubiorach stanowili ciemne jego tło; panie, zbliżywszy krzesełka swoje, tworzyły osobne kółka; mężczyźni, nieruchomie stojący wzdłuż ścian, zapełniali przerwy pomiędzy niemi; u drzwi sąsiedniego salonu gromada mężczyzn skupiła się i tłoczyła. Całe światło wielkiego pająka padało na hałaśliwy, mały światek, poruszający się na środku wielkiego pokoju. Było tam około stu dzieci, w wesołej mięszaninie jasnych kolorów, między którymi niebieski i różowy panowały. Całe szeregi główek blond wszystkich odcieni od popielatego aż do czerwono-złocistego, a w nich kokardki wstążek i kwiatki; całe to pole jasnych włosów, wstrząsane wybuchami śmiechu, falowało jak od powiewu ożywczego wiatru. Czasami w kupie tej koronek i wstążek, jedwabiu i aksamitu, zarysowała się twarzyczka jakaś; różowy nosek, niebieskie oczęta, buzia uśmiechnięta lub nadąsana. Były tam figurki nie większe jak but, co się zuchwale kręciły koło chłopaków dziesięcioletnich; nadaremnie matki szukały ich z daleka. Chłopcy mieli miny zakłopotane, trochę głupowate; dziewczynki, zajęte swymi strojami, poprawiały sobie sukienki i rozpościerały je na krzesłach jak mogły najszerzej. Inni znowu ośmielali się tak dalece, że łokciami potrącali sąsiadki swe, których nie znali i śmieli się, zaglądając im w twarz. Ale dziewczynki trzymały się jak królowe; — grupy złożone z trzech, czterech przyjaciółek, kręciły się na krzesłach, jak gdyby je połamać chciały i rozmawiały tak głośno, że nie można było nic zrozumieć. Wszystkie oczy zwracały się na czerwoną zasłonę.

— Baczność! — rzekł doktor — zbliżając się do sali jadalnej i z lekka pukając do drzwi trzy razy.

Firanki powoli rozsunęły się, i w ramach drzwi ukazał się teatr maryonetek. Zupełna cisza nastała. Nagle z za kulis poskoczył poliszynel z tak przeraźliwym piskiem, że mały Guirand, przestraszony i zachwycony zarazem odpowiedział na to głośnym wykrzyknikiem. Była to jedna z owych strasznych sztuczek, gdzie poliszynel, obiwszy komisarza, zabija żandarma i z szaloną wesołością depce wszystkie boskie i ludzkie prawa. Za każdem uderzeniem kija po drewnianych głowach, nielitościwy parter wybuchał śmiechem; ciosy, które przeszywały na wskroś piersi bijących się; pojedynki, w których walczący uderzali się wzajemnie po czaszkach, jak po próżnych baniach; rąbanina rąk i nóg, które rozlatywały się na wszystkie strony, wszystko to podwajało kaskady śmiechu, toczące się bez wytchnienia ze wszystkich stron. Nareszcie, kiedy poliszynel odpiłował szyję żandarmowi, operacya ta wywołała tak ogromną radość, że szeregi siedzących widzów zaczęły się spychać i przewracać jedne na drugie. Dziewczynka jakaś czteroletnia, cała biała i różowa, nabożnie przyciskała sobie rączęta do serduszka, tak się to jej podobało. Inni przyklaskiwali; chłopcy śmieli się z buzią otwartą; poważny ich głos mięszał się z cienką nutą dziewczynek.

— A to bawią się! — szepnął doktor.

Usiadł był przy Helenie. Ta bawiła się razem z dziećmi. A on upajał się zapachem jej włosów. Za jednem z mocniejszych uderzeń kija odwróciła się — i rzekła:

— Jakie to śmieszne!

— Dzieci, podbudzone zabawą, zaczęły się mięszać do przedstawienia. Same odpowiadały aktorom. Jedna dziewczynka, która musiała znać dramat, tłumaczyła, co ma nastąpić: „Zaraz zabije żonę swą... Teraz będą go wieszali...“ Mała Levasseur, najmłodsza, co miała dwa lata tylko, nagle zawołała:

— Mamo, czy go posadzą na suchy chleb!

Wykrzykniki, uwagi, sypały się na głos. Tymczasem Helena szukała pomiędzy dziećmi.

— Nie widzę Joanny — rzekła. — Czy bawi się?

Doktor pochylił się i głowę swą zbliżył do jej głowy — szepcząc:

— Popatrz pani tam, między tym arlekinem i tą Normandką, widać szpilki w jej włosach... Serdecznie śmieje się.

I tak siedział pochylony, czując na policzku swym ciepło twarzy Heleny. Dotąd żadne wyznanie nie wyrwało się im z ust; milczenie to pozwalało na dawną zażyłość, którą nieokreślony jakiś niepokój tylko zakłócał od jakiegoś czasu. Ale wobec tych dzieci, przy tych wybuchach śmiechu, ona sama stawała się dzieckiem i zapominała o wszelkim przymusie, podczas kiedy oddech Henryka padał na jej szyję. Donośne uderzenia kija wstrząsały nią, podbudzając ruch serca; zwracała się wówczas ku niemu i z błyszczącemi oczyma mówiła za każdym razem:

— Mój Boże! jakież to głupie! A jak tłuką!

On drżąc odpowiadał:

— O, mają mocne głowy.

Na taką tylko odpowiedź umiał się zdobyć. Oboje zajmowali się dzieciństwami. Nie bardzo przykładne życie poliszynela osłabiało ich dotychczasową wytrwałość. Nakoniec, przy rozwiązaniu dramatu, kiedy dyabeł pojawia się i w ostatecznej walce następuje powszechna rzeź, Helena odrzucając się w tył, zgniotła rękę Henryka, którą się opierał na jej fotelu. Parter dzieciaków krzyczał i klaskał w ręce; z takim zapałem kręcił się na krzesełkach, że te aż trzeszczały.

Czerwona firanka zapadła. Ogromny hałas nastąpił zaraz potem; a wtem Paulina zwykłym swym frazesem oznajmiła o przybyciu Malignon'a.

— Ach! Otóż i piękny Malignon.

Malignon zadyszany wszedł, potrącając krzesła.

— Patrzcie! Co za śmieszny pomysł tak się zamknąć — zawołał zdziwiony i wahający się. — Prawdziwie możnaby pomyśleć, że się tu wchodzi do umarłych.

I zwracając się do pani Deberle, która się zbliżyła, rzekł:

— Może się pani pochwalić, żem się nabiegał dla niej!... Od rana szukam Perdiquet'a, wie pani, mego śpiewaka... A że nie mogłem go złapać, więc przyprowadzam pani wielkiego Morizot'a...

Wielki Morizot był to amator, który zabawiał salony za pomocą gałek kuglarskich. Podano mu stolik; pokazywał na nim najpiękniejsze swe sztuczki; ale nie wzbudzał w widzach swoich najmniejszego podziwu ani zajęcia. Biedne dzieciaki spoważniały bardzo. Malce zasypiali, trzymając palce w buzi. Starsi odwracali głowy, uśmiechali się do rodziców, którzy również ziewali skrycie. To też ogólne było zadowolenie, kiedy wielki Morizot zdecydował się odstawić swój stolik.

— O, bardzo jest zręczny — szepnął Malignon do pani Deberle.

Czerwona zasłona znowu się rozsunęła i magiczny widok poruszył dzieci; wszystkie naraz powstały.

Przy żywem świetle lampy środkowej i dwóch kandelabrów o dziesięciu ramionach, ukazała się jadalna sala ze swoim długim stołem, przybranym i zastawionym jak na wielki obiad. Pięćdziesiąt nakryć było na nim. Na środku i po dwóch końcach w niskich koszach stały bukiety kwiatów, a między nimi wysokie podstawki, na których były „niespodzianki,“ pozawijane w złocony lub różnobarwny papier. Dalej, ciasta wysoko ułożone, piramidy owoców cukrowanych, stosy sandwich, a poniżej szeregi talerzów z cukrami i ciastkami; babeczki, sucharki, rozmaite ciastka: ze śmietaną, z migdałami itd. Galarety drżały w krzyształowych naczyniach. W porcelanowych salaterkach były kremy. A butelki szampańskiego wina, wysokie na dłoń, stosowne do wzrostu współbiesiadników, błyszczącem kołem swoich srebrnych korków, opasywały stół dokoła. Było to coś, jak jeden z owych olbrzymich podwieczorków, o których dzieci muszą marzyć, podwieczorek zastawiony jak obiad dla dorosłych osób, jak sztuką czarodziejską zastawiona uczta dla rodziców, na którą wysypano róg obfitości piekarzy i kupców z zabawkami.

— Dalej dzieci, podać paniom ręce! — rzekła pani Deberle, śmiejąc się z zachwytu dzieci.

Ale porządny szereg nie mógł się utworzyć. Lucyan z miną tryumfującą wziął rękę Joanny i szedł naprzód. Za nim inni popychali się trochę. Mamy musiały usadowić ich. I zostały przy nich, szczególnie czuwając nad drobnymi dzieciakami, by nie było wypadków jakich. Z początku wprawdzie biesiadnicy zdawali się byc trochę zakłopotani; spoglądali na siebie, nie śmiejąc dotknąć wszystkich tych dobrych rzeczy, zaniepokojeni trochę tym niezwykłym porządkiem, że dzieci siedziały przy stole, a rodzice stali za niemi. Nareszcie, starsze ośmieliły się i wysunęły ręce. Potem, mamy wmięszały się w to, krajały ciasta, podawały wszystkim dokoła; podwieczorek ożywił się i stał się wkrótce bardzo hałaśliwy. Piękna symetrya stołu znikła w okamgnieniu, wszystko się naraz poruszyło, półmiski, talerze i ręce, co je podawały, i te, co je wypróżniały. Dwie małe Berthier, Blanka i Zofia, uśmiechały się do swych talerzy, na których wszystkiego było potrosze: konfitury, krem, ciastka, owoce. Pięć panien Levasseur robiło sobie zapasy przysmaczków; Walentyna zaś, dumna ze swych czternastu lat, udawała rozsądną osobę i zajmowała się sąsiadami swymi. Tymczasem Lucyan, chcąc pokazać się uprzejmym, odkorkował butelkę szampana, ale tak niezgrabnie, że omal nie wylał wina na swoje spodnie jedwabne. Ztąd urosła cała sprawa.

— Zostaw butelki! — zawołała Paulina. — Ja sama będę odkorkowywała szampana.

Paulina bawiła się na swój własny rachunek, w ciągłym, nadzwyczajnym będąc ruchu. Jak tylko wchodził służący, wyrywała mu z rąk czekoladniczkę i największą miała przyjemność nalewać do filiżanek, co robiła tak szybko i tak zręcznie jak chłopiec kawiarniany. Roznosiła lody i wodę z sokiem; potem rzucała wszystko, biorąc w opiekę, którą z zapomnianych dziewczynek, i znowu biegła dalej, zapytując tych i owych:

— Czego chcesz, ty, mój grubasie? co? ciasteczka?... Poczekaj, kochanko, dam ci pomarańczę... Jedzcież smarkacze, potem będziecie się bawili!

Pani Deberle z zimniejszą krwią mówiła, że trzeba zostawić ich w spokoju, że sami sobie dadzą rady. W jednym rogu sali Helena i kilka pań śmiały się, patrząc na stół. Wszystkie pyszczki różowe wesoło chrupały białymi ząbkami. I nie było nic śmieszniejszego jak te dzieci, co udawały dobrze wychowanych, a zapominały się niekiedy w dziecinnej swawoli. Obiema rękami chwytały szklanki, pijąc z nich do dna, smarowały się, plamiły swe ubranie. Hałas wzmagał się co chwilę. Rabowano ostatnie talerze. Nawet Joanna tańczyła na swem krzesełku, słysząc jak grają kadryla w salonie; matka zbliżyła się do niej i wymawiała, że za wiele je:

— O, mamo — odpowiedziała — tak zdrowa jestem dzisiaj!

Muzyka poruszyła inne dzieci także. Powoli stół się wypróżnił, i wkrótce na samym jego środku pozostał tylko jeden gruby dzieciak. Ten zdawał się drwić sobie z fortepianu. Z serwetą na szyi, z podbródkiem opartym na obrusie, tak był malutki, otwierał ogromne oczy i usta za każdym razem, kiedy matka podawała mu łyżeczkę czekolady. Filiżanka wypróżniała się; dawał sobie ocierać buzię, wciąż połykając i coraz większe otwierając oczy.

— Do licha! mój człowieczku, dobrze ci to idzie! — rzekł Malignon, patrząc na niego z miną marzącą.

Teraz nastąpił podział „niespodzianek.“ Każde z dzieci, odchodząc od stołu, unosiło jednę z tych wielkich złoconych paczek, których obsłonę pospiesznie zdzierały i wyjmowały z nich zabawki, dziwaczne stróżki z cienkiego papieru, ptaki i motyle. Ale największą radość sprawiały petardy. W każdej „niespodziance“ była petarda, którą chłopcy odważnie ciskali, uszczęśliwieni łoskotem, a dziewczynki zamykały oczy, poprawiając się po razy kilka. Przez chwilę słychać było tylko suchy trzask strzałów. Wśród tego hałasu dzieci wróciły do salonu, gdzie fortepian bezustannie wygrywał figury kadryla.

— Zjadłabym ciasteczko — szepnęła panna Aurelia, siadając.

Przed spustoszałym stołem, pokrytym jeszcze resztkami tego olbrzymiego deseru, panie zasiadły teraz. Było ich ze dwanaście, co przezornie czekały na to, by mogły zjeść cokolwiek. Malignon pospieszył z usługą, ponieważ nie było żadnego służącego. Wypróżnił czekoladnicę, zajrzał do butelek, a nawet znalazł lody. Ale pomimo swej uprzejmości wciąż wracał do szczególnego pomysłu, jaki miano zamykając żaluzye.

— Jesteśmy tu jak w piwnicy — powtarzał.

Helena stała, rozmawiając z panią Deberle. Ta wracała do salonu, i młoda kobieta miała iść za nią, kiedy uczuła, że ktoś ją dotyka z lekka. Doktor stał za jej plecami i uśmiechał się. Nie odstępował jej.

— Pani nic nie jesz? — zapytał.

Te tak pospolite słowa wymówił z takim wyrazem prośby, że Helena uczuła się ogromnie zmięszana. Zrozumiała dobrze, że ma na myśli co innego. Ona sama była podbudzona tą wesołością, co ją zewsząd otaczała. Cały ten mały światek skaczący i krzyczący zarażał ją swoją gorączką. Zarumieniona, z błyszczącemi oczyma, odmówiła naprzód.

— Nie, dziękuję, nic nie chcę.

On nastawał wciąż; wówczas zaniepokojona, chcąc się go pozbyć, rzekła:

— A więc dobrze, proszę o filiżankę herbaty.

Pobiegł i przyniósł. Ręce jego drżały, podając filiżankę. Ona piła, on się zbliżył do niej z ustami drżącemi, na których było już wyznanie, co mu się z serca wyrywało. Helena cofnęła się, podała mu próżną filiżankę, i zanim ją postawił na stole, umknęła, zostawiając go samego w jadalnej sali z panną Aurelią. Stara panna systematycznie przeglądała talerze i powoli coś żuła.

W głębi salonu fortepian brzmiał wciąż. Bal w pełnym rozkwicie ze wszystkich stron huczał śmiechem, tańcem i najwyższem weselem. Joanna i Lucyan tańczyli kadryla; otoczono ich kołem, ciekawie przypatrując się. Mały markiz mięszał trochę figury; nie mylił się tylko, kiedy trzeba było obejmować Joannę; wówczas chwytał ją w pół i okręcał. Joanna tańczyła jak pani, dąsając się trochę, że gniótł jej kostium, ale chwilami zapominała się, porwana ogólnym prądem wesołości, z kolei sama go chwytała i podnosiła z ziemi. Fraczek z białego atłasu łączył się wówczas z suknią haftowaną w kwiaty i ptaki dziwaczne, i dwie figurki ze starej porcelany saskiej nabierały dziwnego wdzięku cacka, przeznaczonego na ozdobę pułki.

Po kadrylu, Helena przywołała Joannę dla poprawienia jej sukni.

— To on, mamo — mówiła mała. — Nieznośny jest, gniecie mię wciąż.

Rodzice uśmiechali się dokoła. Kiedy fortepian odezwał się znowu, wszystkie dzieciaki zaczęły tańczyć niby. Widząc jednak, że patrzą na nich, doznawały pewnej nieufności; zachowały się poważnie i powstrzymywały od skoków, chcąc dowieść, że są dobrze wychowane. Niektóre umiały tańczyć; większość, nie znająca figur, poruszała się na miejscu nie wiedząc co począć z rękami i z nogami. Spostrzegłszy to, Paulina wmięszała się do nich.

— Muszę się w to wdać... O, smarkacze!

Wpadła pomiędzy tańczących, chwyciła jednego prawą, drugiego lewą ręką i w taki ruch wprawiła wszystkich, że aż posadzka trzęsła się. Małe nóżki tupały jak im się podobało, nie zwracając najmniejszej uwagi na fortepian, który sam tylko trzymał się taktu. Inne dorosłe osoby wmięszały się także do zabawy. Pani Deberle i Helena, spostrzegłszy dziewczynki, które nie śmiały puścić się w tany, same uprowadziły je między bawiących się. Kierowały figurami, popychały kawalerów, tworzyły kółka; matki podawały im swoich malutkich, ażeby i te również, trzymane za obie rączki, poskakały trochę. Bal doszedł do pełnego rozwoju. Tancerze z zapałem oddawali się zabawie, śmiejąc się i popychając jedni drugich, podobni do uczniów, których nagły szał ogarnia, pod nieobecność nauczyciela. Nic nie mogło być weselszego nad ten karnawał dzieciuchów, tych małych człowieczków i tych kobietek, co na małą skalę przedstawiali mody wszystkich ludów i fantazyą romansu i teatru. Różowe buziaki, niebieskie oczęta i delikatne kształty, nadawały kostiumom pewną świeżość dzieciństwa. Był to jak gdyby bankiet w jakiejś powieści czarodziejskiej, gdzie przebrani bożkowie odegrywali rolę ludzi na zaręczynach jakiegoś księcia Charmant.

— Duszno tu — mówił Malignon. — Muszę odetchnąć.

Wychodził zostawując drzwi salonu otwarte. Bladawe światło z ulicy wpadało wówczas, smutno odbijając od blasku lamp i świec. I tak co kwadrans Malignon otwierał drzwi.

Fortepian nie umilkał. Mała Guirand z czarnym motylem Alzatki w blond włosach, tańczyła z arlekinem dwa razy większym od niej. Szkot jakiś tak szybko okręcał Małgosię Tissot, że ta straciła swoją puszkę od mleka. Dwie Berthier, Blanka i Zofia, nierozłączne z sobą, skakały razem. A gdzie się nie obrócić, wszędzie była któraś Levasseur; wszędzie spotykało się kapturki i suknie z ponsowego atłasu, w pasy czarne aksamitne. Większe dziewczynki i doroślejsze chłopaki schronili się do drugiego salonu, chcąc potańczyć swobodniej. Walentyna de Chermette, osłonięta swą hiszpańską mantylą, uczone stawiała kroki naprzeciw młodego pana, co przyszedł na bal we fraku. Nagle wszyscy się śmiać zaczęli, i jedni drugich przywoływali, pokazując sobie za drzwiami w kącie, małego Guiraud, dwuletniego pajaca i dziewczynkę w jego wieku, przebraną za chłopkę, trzymających się wzajemnie i mocno ściskających, ażeby nie upaść; ukryli się tutaj i nie pytając o nic, twarzyczka przy twarzyczce kręcili bez pamięci.

— Nie mogę już — rzekła Helena, opierając się o drzwi jadalnej sali.

I zarumieniona ruchem, bo sama skakała, dopomagając dzieciom, ochładzała się teraz wachlarzem. Pierś jej podnosiła się pod przezroczystą grenadiną stanika. I znowu uczuła na swem ramieniu oddech Henryka, który był zawsze koło niej, zawsze za nią. Widziała, że będzie mówił; ale nie miała już siły uciec przed wyznaniem jego. Zbliżył się i cicho szepnął w jej włosy:

— Kocham cię! o, kocham!

Gorący płomień objął ją od stóp do głowy. Mój Boże! przemówił, i nie będzie już mogła udawać słodkiego spokoju niewiadomości. Zaczerwienioną twarz swą ukryła po za wachlarzem. Dzieci rozbawione, rozswawolone, tupały coraz mocniej. Srebrzyste śmiechy rozlegały się dokoła, cienkie głosiki niby świergot ptasząt odzywały się ze wszystkich stron wraz z lekkimi okrzykami i piskiem zadowolnienia. Taniec ten niewiniątek, zamieniony w szalony galop małych dyabełków, tchnął świeżością jakąś.

— Kocham cię! o, kocham! — powtórzył Henryk.

Zadrżała znowu, nie chciała rozumieć. Bezprzytomna, schroniła się do sali jadalnej. Ale tu było pusto; pan Letellier tylko spokojnie spał na krześle. Henryk poszedł za nią. Ośmielił się chwycić ją za ręce; zadrżała, spojrzawszy na twarz jego, którą namiętność wzburzyła straszliwie. Powtarzał ciągle:

— Kocham cię... kocham cię...

— Puść mię, szepnęła słabo, puść mię, szalony jesteś....

Bal huczał, nóżki tupały z zaciętością! Dzwonki Blanki Berthier, towarzyszyły przytłumionym dźwiękom fortepianu. Pani Deberle i Paulina klaskały w dłonie, wybijając takt. Tańczono polkę. Helena widziała Joannę i Lucyana, jak trzymając się przesuwali się z uśmiechem.

Wówczas szybkim ruchem uwolniła z uścisku jego ręce i uciekła do sąsiedniego pokoju do kredensu, gdzie było już tylko dzienne światło. Nagła ta jasność olśniła ją. Przelękła się, czuła, że nie jest w stanie wrócić do salonu z twarzą, na której zapewne każdy mógłby wyczytać jej miłość. I przebiegłszy ogród, wróciła do siebie, chcąc się uspokoić; dźwięki muzyki i hałas tańcu ścigał ją aż tutaj.

V.

Tu, wysoko w swoim pokoju, w tem słodkiem zaciszu, Helenie ciężko było oddychać. Pokój ten tak szczelnie zamknięty, tak cichy i jak gdyby uśpiony pod przykryciem obicia z niebieskiego aksamitu, dziwił ją teraz; przyniosła tu z sobą krótki, gorący oddech wzruszenia, co burzyło się w jej piersi. Czyż to było jej mieszkanie ten martwy, samotny zakątek, w którym brakło powietrza? Gwałtownie otworzyła okno i oparła się na niem. Przed nią leżał Paryż.

Deszcz ustał, chmury uciekały, podobne do potwornego stada, bezładnie pierzchającego w mgłach horyzontu. Po nad samem miastem niebo się rozwarło czystym błękitem; otwór ten zwiększał się powoli. Ale Helena, zadyszana jeszcze szybkim biegiem, nie widziała nic, nic nie słyszała oprócz bicia serca swego, od którego uderzeń pierś jej gwałtownie się podnosiła. Oddychała głęboko; zdawało jej się, że ogromna płaszczyzna ze swą rzeką, swemi dwoma milionami ludzi, swem olbrzymem miastem, swemi odległemi wzgórzami, za mało jeszcze ma powietrza, by wrócić jej dawny spokojny i równy oddech. Chwil kilka stała tak, oparta na poręczy okna zatopiona w nawale uczuć i myśli, które bezładnie tłocząc się i kłębiąc jedne na drugie zagłuszały ją i nie dozwalały ani słyszeć ani rozumieć siebie samej. W uszach jej dzwoniło, przed oczami migały jakieś światełka. Wzrok błądził bezwiednie; zatrzymał się chwilę na rękach nawet, na których były jeszcze rękawiczki; jak gdyby we śnie, przypomniała sobie, że do lewej z nich miała przyszyć guziczek. Potem zaczęła mówić do siebie głośno i razy kilka powtórzyła coraz ciszej te same wyrazy:

— Kocham cię... Kocham cię... Mój Boże! Kocham cię...

Instynktownie ukryła twarz w dłoniach, opierając palce na powiekach zamkniętych, jak gdyby chcąc powiększyć ciemność, w którą się dobrowolnie pogrążała. Zapragnęła zniknąć gdzieś, nie wiedzieć nic i być samą w głębi ciemności. Oddech jej uspokajał się. Na twarz padało potężne tchnienie Paryża; czuła go tam, ale nie chciała patrzeć nań, a jednak strach ją zdejmował na samą myśl opuszczenia okna; nie miałaby wówczas pod sobą tego miasta, którego nieskończoność uspokajała ją.

Wkrótce zapomniała o wszystkiem. Scena wyznania pomimo jej woli odradzała się w myśli. Na czarnem jak noc tle Henryk ukazywał się wyraźnie, tak żywo, że odróżniała nerwowe drganie ust jego. Zbliżał się, pochylał. Bezprzytomna, rzucała się w tył. Ale cóż ztąd, czuła, jak ją parzyło coś w ramię, słyszała głos: „Kocham cię... Kocham cię...“ A kiedy wysiłkiem woli odegnała widzenie, po chwili ukazywało się ono powoli gdzieś dalej, i znowu Henryk gonił za nią do jadalnego pokoju z tymi samymi wyrazami: „Kocham cię... Kocham cię...“ Wyrazy te dźwięczały jej w uchu jak monotonne bicie dzwonu. Przyspieszone tętno krwi dzwoniło w całem ciele tymi wyrazami tylko, które rozsadzały jej piersi. Chciała myśleć, rozważać, usiłowała uciec od obrazu Henryka. Przemówił, nigdy już nie będzie mogła patrzeć na niego. Jego gwałtowność zniszczyła słodycz ich uczucia. Przypominała sobie czas, w którym ją kochał, a nie miał okrucieństwa mówić jej o tem, czas spędzany w ogródku przy budzącej się wiośnie. Mój Boże! przemówił! Myśl ta wracała wciąż, stawała się tak wielka i tak ciężka, że piorun, coby uderzył w miasto i zniszczył je w tej chwili, nie wydałby się jej tak ważnym wy-

*

padkiem. W sercu jej było uczucie oburzenia, dumnego gniewu; łączyły się one jednak z głuchą nieprzezwyciężoną roskoszą, co ją wstrząsała całą i upajała zarazem. Przemówił, mówił wciąż, uparcie się ukazywał, zawsze z palącemi słowami na ustach: „Kocham cię... kocham cię...“ Słowa te nieprzepartą siłą porwały i uniosły całe jej przeszłe życie jako małżonki i matki.

Pomimo oczu zasłoniętych, czuła tę wielką przestrzeń, co się roztaczała pod nią. Słyszała potężny głos miasta; fale życia jego rozbijały się aż do niej i opasywały ją. Hałas, zapach, nawet światło uderzały ją po twarzy, pomimo rąk nerwowo zaciśniętych. Chwilami jasne promyki zdawały się nagle przedzierać przez zamknięte powieki; przy tem świetle zdawało się jej, że widzi pomniki, szczyty wież i kopuły, rysujące się na niewyraźnem tle marzenia. Nareszcie odjęła ręce, otworzyła oczy, blask ją oślepił. Nieskończone niebo zawisło nad nią; Henryk znikł.

W samej głębi horyzontu widać było tylko ścianę chmur, które się zwaliły tam jak skały kredowe. Na czystem niebie, mocno błękitnem, szybowały białe obłoki, płynąc lekko, powoli, jak flotyla żagli wiatrem gnanych. Na północ, nad Montmartre, w jednym kącie horyzontu zawisła przejrzysta sieć, nadzwyczaj delikatna, jak gdyby matnia z bladego jedwabiu, zaciągnięta na jakiś połów tego spokojnego morza. Ale na zachodzie, w stronę wzgórz Meudon, których Helena nie mogła dojrzeć, resztki ulewy musiały jeszcze zasłaniać słońce, bo Paryż, chociaż pod pogodnem niebem stał ciemny i mokry, susząc powoli dachy swe. Miasto miało jedną barwę, szaro-niebieski kolor łupku; drzewa rzucały czarne centki na niem; rysowało się jednak bardzo wyraźnie, z ostrymi kantami i tysiącami okien domów swoich. Sekwana miała przyćmiony blask starej sztaby srebra. Po obu jej brzegach pomniki zdawały się być powleczone sadzą. Wieża św. Jakóba, jak gdyby przetrawiona, przegryziona rdzą, wznosiła się jak okaz z muzeumu starożytności; Panteon, wybiegając po nad swój ciemny cyrkuł, rysował się jak olbrzymi katafalk. Na jednej tylko kopule Inwalidów połyskiwały złocenia, światełka, co migotały na nich, były to jak gdyby lampy, palące się w biały dzień i melancholijnie zadumane nad żałobą mroku, co wisiał nad Paryżem.

Helena, patrząc na smutne miasto, myśliła o tem, że nie zna Henryka. Teraz już, kiedy jego obraz przestał ją ścigać, czuła się znowu silną. Buntowała się, zapierała tego, że człowiek ten opanował ją w kilka tygodni. Nie, nie znała go. Nie wiedziała nic o nim, ani o jego czynach, ani o myślach jego; nie śmiałaby nawet powiedzieć, jakiej siły był umysł jego. Może więcej mu brakowało serca jak rozumu. Zagłębiała się w rozmaitych przypuszczeniach tych, a każde z nich budziło gorycz w jej sercu; i tak wciąż się biła z tą niewiadomością, wciąż spotykała z tym murem, co ją oddzielał od Henryka i nie pozwalał poznać go. Nic nie wiedziała, nigdy nic wiedzieć nie będzie. Myśliła o nim tylko, że jest gwałtownym, że rzucił jej w serce ogniste słowa; że do duszy jej wniósł niepokój, który po raz pierwszy złamał szczęśliwą dotąd równowagę życia. Zkąd się on wziął, by ją udręczac? Nagle pomyśliła sobie, że przed sześciu tygodniami nie istniała dla niego nawet, a myśl ta wydała się jej nieznośna. Mój Boże niczem być jedno dla drugiego, nie widywać się wcale, może nigdy nie spotykać się! Rozpaczliwie załamała ręce; oczy jej napełniły się łzami.

Heleny wzrok pomknął daleko i utkwił w wieżach Notre-Dame. Promień słońca, przedarłszy się między dwiema chmurami, złocił je. Głowa jej była ciężka, jak gdyby przepełniona myślami, co się tłumnie cisnęły i biły z sobą. Sprawiało to jej cierpienie, chciałaby zająć się Paryżem i odnaleźć dawną pogodę umysłu, spokojnie, jak zwykle, patrząc na morze dachów jego. Ileż razy o tejże godzinie w ciszy pięknego wieczora nieznana głębia wielkiego miasta ukołysała ją do słodkiego marzenia! Teraz Paryż oświecał się pod chwilowemi błyskawicami słońca. Za pierwszym promieniem, który padł na Notre-Dame, nastąpiły inne uderzając na miasto. Słońce uchodząc rozbijało chmury. Miasto ukazało się w mięszaninie świateł i cieniów. Na chwilę lewy brzeg stał szaro ołowiany; na prawym okrągłe światełka na przemian z czarnemi plamami cieniu tworzyły niby olbrzymią skórę tygrysa, rozciągniętą wzdłuż rzeki. Kształty zmieniały się i przenosiły z miejsca na miejsce, podług fantazyi wiatru, który unosił obłoki. Czarne masy chmur spokojnie i cicho w jednym kierunku przesuwały się po nad dachami. Niektóre z nich olbrzymiej wielkości przepływały majestatycznie jak okręt admiralski, otoczony mniejszymi statkami, które trzymały się symetryi eskadry, uszykowanej do boju. Raz cień potężny, podłużny, z paszczą otwartą jak gadzina, zatrzymał się nad Paryżem na chwilę, jak gdyby chcąc go pożreć. A kiedy znikł w głębi horyzontu, olbrzymią swą postać, zmniejszywszy do rozmiarów robaka, promień słońca złotym prochem wysypał się z rozdartej chmury i wpadł do próżni, którą potwór pozostawił był za sobą. Drżąca, złocista kurzawa spadła na pola Elizyjskie, zasypując je ruchomą falą światła.

A więc tak! była to miłość, miłość nieszczęsna; Helena nie broniła się już. Nie miała sił walczyć przeciwko własnemu sercu. Henryk mógł ją wziąć, nie opierała się temu. Dla czegoż miałaby się opierać? Wspomnienie przeszłego życia napawało ją pogodą i gwałtownem oburzeniem. Jak mogła żyć w tej chłodnej atmosferze z tą obojętnością, którą się niegdyś tak pyszniła? Widziała siebie młodą dziewczyną w Marsylii, na ulicy Petites-Maries, gdzie zawsze trzęsła się od zimna; widziała się zamężną, zlodowaciałą obok tego wielkiego dziecka, co jej nogi całował; uciekała się wówczas do swoich kłopotów gospodarskich; widziała się we wszystkich chwilach życia swgo, idącą zawsze po tej samej drodze, nieznającą co to wzruszenie, któreby naruszyło jej spokój; a teraz ta jednostajność, ten sen miłości, który przespała, jątrzyły ją niesłychanie. I powiedzieć, że miała się za szczęśliwą przez te lat trzydzieści; szła z sercem niemem, a próżnię życia zapełniała tylko dumą uczciwej kobiety! O, co za oszukaństwo owa surowość, owe skrupuły, cnoty, które zamykały ją dotąd w ciasnem kole jałowych uciech dewotki! Nie, nie, dość tego, chciała żyć! I straszne szyderstwo zrodziło się w niej przeciw własnemu rozsądkowi. Rozsądek jej, na prawdę, budził w niej politwanie; ten rozsądek, który w ciągu całego życia, już dosyć długiego, nie przyniósł jej ani części tej rozkoszy, jakiej doznawała od godziny. Nie wierzyła w upadek, z nierozsądną przechwałką sądziła, że tak iść będzie aż do końca, a noga jej nie potrąci nawet o kamień. A teraz, teraz pragnęła upadku; wzywała go, żądała, by przyszedł natychmiast, by był bez powstania. Cały bunt serca doprowadził ją tylko do tego nieprzezwyciężonego pragnienia. O, zniknąć w jednym uścisku, w jednej minucie przeczuć to, czego brakło życiu całemu!

A jednak w głębi serca jej panował ogromny smutek. Było to coś, jak gdyby ściśnięcie wewnętrzne, jak gdyby uczucie ciemnej próżni. Walczyła z sobą. Czyż nie była wolną? Kochając Henryka, nie oszukiwała nikogo, mogła, jak się jej podobało rozporządzać uczuciem swojem. Wreszcie wszystko ją uniewinniało. Czemże było jej życie od dwóch lat? Teraz pojmowała, że wszystko w niem osłabiało ją i przygotowywało do miłości: wdowieństwo, zupełna swoboda, samotność. Miłość musiała tleć podczas długich wieczorów, spędzanych między dwoma starymi przyjaciołmi, księdzem i jego bratem; pogoda umysłu tych dwóch ludzi tak prostych, tak szczerych ukołysała ją; tliła wówczas, kiedy tak zamykała się przed światem obok tego Paryża, co huczał na horyzoncie; tliła za każdym razem, kiedy się oparła o to okno, oddając się marzeniom, których nie znała dawniej, a które powoli uczyniły ją tak bezsilną. I przypomniała sobie ów jasny poranek wiosenny, miasto czyste i białe jak pod kryształem, Paryż w świetle wiosennem, dziecinnem, na który patrzyła, leżąc przed oknem z książką, opuszczoną na kolana. Owego poranku miłość budziła się, dając znak życia lekkiem drżeniem, którego nie umiała nazwać, i przeciw któremu sądziła się być silną. Dzisiaj była znowu na temże miejscu, ale zwycięzka namiętność pożerała ją, a przed nią zachodzące słońce paliło miasto. Zdawało się jej, że jeden dzień dokonał tego, że był to burzliwy wieczór czystego poranku, i że wszystkie te płomienie paliły się w jej sercu.

Niebo zmieniło się. Słońce, zniżając się ku wzgórzom Meudon, odepchnęło ostatnie chmury i zajaśniało najżywszym ogniem na błękicie. Na krańcach horyzontu kredowe skały, zagradzające dalsze okolice Charenton i Choisy le Roi, zamieniły się na masy karminu najżywszej barwy; flotyla obłoczków, płynących powoli na błękicie po nad Paryżem, pokryła się purpurowymi żaglami, a delikatna sieć z białego jedwabiu, rozciągnięta nad Mont-martre, zdawala się być zadzierzgnięta z plecionki złotej, której równe oczka miały uwięzić gwiazdy za ukazaniem się ich na horyzoncie. A pod tem ognistem sklepieniem rozciągało się miasto, porysowane wielkimi cieniami. Na dole, na obszernym placu, wzdłuż alei, dorożki i omnibusy krzyżowały się wśród żółtej kurzawy, pomiędzy tłumem przechodniów, którzy się roili jak czarne mrowisko, oświecone błyskami światła. Seminaryum jakieś, w ścieśnionych szeregach posuwające się wybrzeżem Billy, tworzyło ogon sutan, koloru okry. Dalej jadący i piesi znikali, a na odległym moście rozróżnić można było tylko szereg powozów, których latarnie błyszczały. Na lewo wysokie kominy piekarni wojskowej, proste i różowe, wyrzucały duże kłęby dymu delikatnej barwy ciała; z drugiej strony rzeki, piękne wiązy wybrzeża Orsay składały się na ciemną masę, którą chwilowe promienie słońca przeszywały. Sekwana między swemi urwistemi wybrzeżami toczyła drżące fale, w których błękit, żółta i zielona barwa łamały się w pstrociznę; ale w górze rzeki kolory te zlewały się w jeden ton złota, coraz jaskrawszy i możnaby porównać rzekę do sztaby, która wypłynęła z jakiegoś niewidomego tygla na horyzoncie; w miarę jak wystygała, rozszerzyła się, mieniąc żywymi kolorami. Po nad tym błyszczącym odlewem pnące się mosty, coraz bardziej zwężając swe lekkie łuki, przecinały rzekę szaremi pręgami, które gubiły się wreszcie między stosami płonących domów; po nad niemi dwie wieże Notre-Dame czerwieniły się jak dwie pochodnie.

Na prawo i na lewo pomniki paliły się. Pośród lasu Pól Elizejskich szyby w Palais de l'Industrie tworzyły niby olbrzymie ognisko palących się głowni; dalej, po za spłaszczonym dachem Magdaleny potężny kadłub opery zdawał się być olbrzymem z mosiądzu; inne gmachy, kopuły i wieże, kolumna Vendône, święty Wincenty á Paulo, wieża świętego Jakóba, bliżej zaś pawiliony nowego Luwru i Tuileryów, całe w płomieniach, układały się w olbrzymie stosy na każdym placu. Kopuła Inwalidów buchała ogniem tak silnym, że budziła mimowolną obawę, by nie runęła natychmiast, zasypując iskrami cyrkuł cały. Po za nierównemi wieżami świętego Sulpicyusza na tle nieba rysował się Panteon; z przyćmionym blaskiem, podobny do pałacu, w którym królowała pożoga, buchająca żarem. W miarę jak słońce obniżało się, cały Paryż zapalał się od ognia pomników. Płomyki lizały szczyty dachów, a na dolinach czarne dymy drzemały. Wszystkie facyaty, zwrócone ku Trocadero, czerwieniły się, iskrząc szybami swemi; miasto wyrzucało bezustanny deszcz iskier, jak gdyby niewidzialny miech jakiś dął wciąż na tę olbrzymią kuźnię. Coraz nowe snopy sypały się z przyległych cyrkułów, gdzie wklęsłe ulice rysowały się ciemnemi, wypalonemi liniami. Nawet w dalszych okolicach płaszczyzny z głębin popiołu, co pokrywał zniszczone przedmieście, ciepłe jeszcze, od czasu do czasu z niedopalonego ogniska wystrzeliwały błyszczące race. Cała płaszczyzna zamieniła się w jeden piec. Paryż palił się. Niebo zaczerwieniło mocniej jeszcze, chmury krwawiły się po nad ogromnem miastem ze złota i purpury.

Helena, topiąc oczy w tych płomieniach, pożerana namiętnością, patrzyła na palący się Paryż. Nagle wstrzęsła się; mała rączka jakaś oparła się na jej ramieniu... Była to Joanna.

— Mamo! mamo! — wołała.

Helena odwróciła się.

— Nareszcie!... Czyż nie słyszałaś, jak cię wołałam razy dziesięć.

Mała, jeszcze w kostinie Japonki, miała oczy błyszczące i policzki zarumienione od zabawy. Nie zostawiła matce czasu do odpowiedzi.

— Ślicznieś mnie porzuciła. Wiesz, że w końcu szukano cię wszędzie. Gdyby nie Paulina, która mię odprowadziła aż do wschodów, nie śmiałabym przejść przez ulicę.

I ślicznym ruchem zbliżając twarz swą do ust matki, spytała nagle:

— Kochasz mię?

Helena pocałowała ją z roztargnieniem. Była zadziwiona, jak gdyby zniecierpliwiona, że dziecię wróciło tak prędko. Czyż na prawdę ona sama opuściła bal od godziny już? Chcąc uspokoić dziewczynkę, powiedziała jej, że w istocie czuła się była trochę niedobrze. Powietrze przynosiło jej ulgę. Potrzebowała trochę spokoju.

— O, nie lękaj się, nadto zmęczona jestem — szepnęła Joanna. Będę zachowywała się spokojnie, będę grzeczna... Ale, mateczko, mogę mówić, nie prawdaż?

Stanęła przy Helenie, przyciskając się do niej; rada, że jej nie rozbierają zaraz. Suknia haftowana purpurowa, spodniczka zielonkawa jedwabna zachwycały ją; potrząsała główką, z przyjemnością słuchając, jak wisiadełka u długich szpilek, wetkniętych we włosy, klaskały za każdym jej ruchem. Potok słów szybkich popłynął z jej ust. Wszystko widziała, wszystko słyszała i zapamiętała, wszystko z ową miną niewiniątka, co się zdawało nic nie rozumieć. Teraz wynagradzała to sobie, że była rozsądna, że tak długo miała usta zamknięte i oczy obojętne.

— Wiesz, mamo, ten, co to wypuszczał poliszynela, to był stary człowiek, z siwą brodą. Widziałam go dobrze, kiedy firanka odchyliła się... Mały Guirand płakał. A to głupi! nieprawdaż? Powiedziano mu wtenczas, że przyjdzie żandarm i naleje mu wody do zupy, i trzeba było wynieść go, tak krzyczał... A podczas podwieczorku, to Małgorzata zawalała konfiturami cały swój kostium mleczarki. Mama jej obtarła ją, krzycząc: „O, brudasie!“ Wpakowała sobie konfitury aż do włosów... Ja nic nie mówiłam, alem się dobrze bawiła, patrząc jak się rzuciły na ciastka. Źle są wychowane, nieprawdaż, mateczko?

Zatrzymała się chwil kilka, pogrążona we wspomnieniach, potem spytała znowu z minką zamyśloną:

— Mamo, czy jadłaś te ciastka, co to były żółte, a we środku była biała śmietana? O, jakie to było dobre! jakie dobre!... Cały czas trzymałam talerz koło siebie.

Helena nie słuchała tego dziecinnego szczebiotania. Ale Joanna mówiła, bo to przynosiło ulgę przepełnionej główce. I znowu wdała się w szczegóły balu. Najmniejsza rzecz nabierała u niej ogromnego znaczenia.

— Nie uważałaś, kiedy zaczęto, aż tu mój pasek się odpiął. Jakaś pani, której nie znam, przypięła mi go szpilką. Powiedziałam jej: „Bardzo dziękuję pani...“ Wtenczas Lucyan tańcząc ukłuł się. „Co tu masz z przodu, co tak kole?“ spytał mnie. Ja nic nie wiedziałam i odpowiedziałam mu, że nic nie mam. To Paulina obejrzała mię i wpięła szpilkę jak się należy... Nie! ty nie masz pojęcia! tak się popychano, jeden wielki chłopiec, taki niegrzeczny, uderzył Zofię z tyłu tak, że o mało nie upadła. Panny Levasseur skakały obiemi nogami. Nie tak przecie trzeba tańczyć, z pewnością... Ale co najpiękniejszego, widzisz, to był koniec. Nie byłaś tam, nie możesz wiedzieć. Wzięto się za ręce, kręcono się w koło; trzeba było umierać ze śmiechu. Byli wielcy panowie, co tak kręcili się. Na prawdę, nie kłamię!... Dla czego nie wierzysz mi, mateczko?

Milczenie Heleny zaczęło ją wreszcie gniewać. Przycisnęła się bliżej jeszcze, potrząsła jej rękę. Wreszcie, nie mogąc wydobyc nic oprócz krótkich odpowiedzi, powoli milkła sama, wpadając również w zadumę, myśląc o tym balu, który zapełniał jej młode serce. Obie wówczas, matka i córka, milcząc patrzyły na palący się Paryż. Oświecony krwawemi chmurami, mniej niż kiedy był im znany, podobny do jakiegoś miasta z legendy, co za namiętność swą pod zgliszczem ognistem pokutował.

— Tańczono w koło? — nagle spytała Helena, jak gdyby zrywając się ze snu.

— Tak, tak — szepnęła Joanna zamyślona z kolei.

— A doktor? tańczył?

— Spodziewam się, kręcił się ze mną.... Podnosił mię z ziemi i pytał: „Gdzie twoja mama?“ Potem pocałował mię.

Helena bezwiednie uśmiechnęła się. Śmiała się do jego pieszczot. Po co jej było znać Henryka? Przyjemniej było nie znać go, nie poznać nigdy i przyjąć jak tego, którego czekała oddawna. Czegoż się miała dziwić i niepokoić. Godzina wybiła, i stanął przed nią. To i dobrze. Śmiała jej natura zgadzała się na wszystko. Kochała i była kochaną; myśl ta wlewała spokój do jej duszy. I mówiła sobie, że będzie miała dość siły, by nie psuć sobie szczęścia.

Noc powoli nadchodziła, zimny wiatr przeszedł w powietrzu. Dreszcz wstrząsnął Joanną, która stała zamyślona. Oparła główkę na piersiach matki; i jak gdyby pytanie wiązało się z głęboką jej zadumą, rzekła po raz drugi:

— Kochasz mię?

Helena, zawsze uśmiechnięta, wzięła jej głowę między swe ręce i zdawała się przez chwilę upatrywać czegoś na jej twarzy. Potem przycisnęła swe usta niedaleko jej ust, ponad małem różowem znamieniem. W to miejsce, wiedziała to dobrze, Henryk ucałował był dziecię.

Słoneczna tarcza dotykała już ciemnej linii wzgórz Meudon, ukośne promienie dosięgały jeszcze Paryża. Cień kopuły Inwalidów, ogromnie urosłszy, zasłaniał cały cyrkuł Saint-Germain. Opera, wieża świętego Jakóba, kolumny i szczyty wież, porywały brzeg prawy w czarne pręgi. Linie frontowe, wgłębienia ulic, wyniosłe wysepki dachów paliły się przytłumionym ogniem. Szyby pociemniały, iskry gasły, jak gdyby z domów pozostał już tylko żar. Odgłos dalekich dzwonów rozlegał się w powietrzu, wrzawa powstawała i konała. Przy zbliżającym się wieczorze po nad pałającem miastem niebo zaokrąglało swe fioletowe sklepienie, pręgowane złotem i purpurą. Nagle straszliwy pożar wybuchł na nowo; Paryż wystrzelił ostatnim płomieniem, który oświecił najdalsze przedmieścia nawet. Potem szary popiół opadł; cyrkuły stały nieruchome, lekkie i czarne jak wygasłe węgle.

Koniec części drugiej.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 1. września.

Ktoby się spodziewał, że i my dziennikarscy kronikarze prowadzić musimy politykę naszą od upadku do upadku, czyli otwarcie mówiąc odgrywać rolę chorągiewek skrzypiących na dachu. W zeszłym tygodniu, rozgłosiliśmy na całą Galicyą, że c. k. władze wojskowe uznały właściwem zapakować waleczną armię naszą do lwowskich gimnazyów, a nawet do Uniwersytetu, — tymczasem po zdaniu egzaminów dojrzałości w Serajewie, wyższą naukę wojaków usunięto, a tylko rezerwie kazano egzaminować się w szkołach ludowych. Kto na tem gorzej wyjdzie, czy nasza młodzież, którą od 9. września już zasadzą do nauki, czy też Bośniacy, których edukacyi się podjęliśmy... — czas pokaże. A musi to być bardzo niesforny naród z tych Bośniaków, jeżeli dwunastoletnie bębny już biorą się tam do karabinów..... rózgi na tych rebelantów niedorosłych, boć przecie wszystko się to robi dla ich szczęścia i cywilizacyi.

Nie tyle mi idzie o tych małych Bośniaczków, choć tam podobno i starsi begowie potrzebują profesorskiego nadzoru, ale żal niezmiernie tego prochu, który w zeszłej kronice z taką werwą przeciw magistratowi lwowskiemu, przeciw Radzie szkolnej za tę lokacyą wojska w gmachach szkolnych wystrzelałem... O ile sobie przypominam, była tam mowa o łzach rozpaczy utrzymujących uczni na stancyi, o szkodach materyalnych jakie miasto poniesie, o ucieszе gimnazyalistów, że będą mogli do 1. Października baraszkować, aż tu naraz wszystko jak sen zniknęło i biedne studyozy z nosem na kwintę spuszczonym gotują się do drogi. Jeżeli kto poniesie teraz ciężką

stratę, to tylko pisma galicyjskie, którym zabraknie utworów poetycznych, jakieby muza studencka przez ten czas na świeżem powietrzu sprodukowała. Ale cóż robić? do wszystkiego trzeba mieć szczęście, choćby trochę lepsze od szczęścia posła Skrzyńskiego, któremu już po zagłosowaniu w Brzeżanach votum nieufności, nadeszły telegrafem głosy ufności, mogące zmienić jego sytuacyą w obec wyborców. Pokazuje się jednak, że zaufanie podobnie jak oferty licytacyjne, ma swój termin prekluzyjny, — spóźnionych deklaracyj się nie przyjmuje, a skutkiem tego będzie musiał szanowny poseł pójść do Kanossy wlewając swój patryotyzm do ogólnego rezerwoaru lojalności, zwanego oceanem spokojnym, gdzie już nie tylko pływać ale i lawirować się nauczy.

Ze smutkiem musimy wyznać, że umiejętności sprytnego unoszenia się na falach żywota politycznego, bardzo podobnego do żerowania mew morskich, grozi nowy nieprzyjaciel. Pan Henryk Forlanini w Medyolanie, robi próby z nadpowietrzną machiną, która za pomocą skrzydeł poruszanych siłą pary, podnosi się bez gazu do góry i da się swobodnie kierować. Dotąd wszyscy dyplomaci i mężowie stanu aby się wznieść wyżej, potrzebowali znajomości dokładnej gimnastyki i nawigacyi — gazu używali bardzo ostrożnie, bo ten częstokroć zanadto rozdyma — dziś przybywa im nauka areostatyki, bo i w powietrzu zaczną bujać tytuły, ordery, urzędy, które zręczni baloniści będą mogli uchwycić... Tak, tak, moi panowie, trzeba się znów uczyć — upłynął wiek złoty.... teraz bez egzaminów ani rusz w życiu, czego najlepszym dowodem, że dotąd w komisyi egzaminacyjnej na nauczycieli i nauczycielki do szkół ludowych i wydziałowych zgłosiło się we Lwowie przeszło 600 kandydatów, a spodziewają się, że ta liczba do 8. września, dojdzie tysiąca. Szał egzaminacyjny tak ogarnął wszystkich po debiucie Brzeżańskim, że i posłowie nasi nawet tacy jak p. Kornel Ujejski muszą poddać się jawnej dyspucie przed swymi wyborcami. Szczęściem, że tam nie będzie pewno p. Torosiewicza z rózgą, i że uda się poecie naszemu uniknąć Kanossy.

Powoli zaczynają już ściągać do Lwowa wędrowne ptaki z wód zagranicznych i z wystawy w Paryżu: jedni i drudzy wracają z lekką kieszenią a ciężką głową, dlatego mamy we Lwowie spokój przedtem niewidziany. I gdyby nie deszcz skrapiający nas po parę razy na dzień dla dystrakcyi, posnęlibyśmy wszyscy na dobre. Socyalistów i innych budzików publicznej ciszy wysłaliśmy po za granicę krajów w Radzie państwa reprezentowanych, swawolę prasy ukróciliśmy konfiskatami, Ruch literacki zamknęliśmy na dobre, i czegoż więcej można sobie życzyć dla uczciwego trawienia darów Bożych?... A będzie co trawić, oj będzie, niechno tylko sejm się zbierze do sali skarbkowskiej. Proszę was jedne pięć milionów pożyczki dla zapchania gęby biedzie galicyjskiej, drugie pięć milionów na restauracyą szlachty galicyjskiej.. przepraszam, chciałem powiedzieć na melioracyą gruntów galicyjskich; przytem ustawa jedna, ustawa druga, trzecia i nowelle i nowelle, przyznacie czytelnicy, że to piękna perspektywa dla głodnych, coś w rodzaju cytryny, która ślinę na usta sprowadza... A co to już amatorów kucharzy kręci się na ten bal! Oj te miliony, ile wy snu nie napsujecie ludziom! Pierwszy związek kas zaliczkowych wystąpił z opozycyą przeciw tym pięciu milionom dla biedy galicyjskiej. Na co powiada zakładać kasy powiatowe, kiedy my już jesteśmy, którzy wspomagamy potrzebujących tanim kredytem tak od 12% do 16% i sami mamy dywidendy dochodzące czasami 30%. To zdaje się powinno być dla kraju wystarczającem; niech tylko Władze autonomiczne dadzą nam opiekę, niech nas otoczą swoją życzliwością, a my powoli załatamy wszystkie biedy. W prostocie kronikarskiego ducha przyznajemy, że nie rozumiemy tej opozycyi przeciw usiłowaniom Wydziału krajowego o zniżenie stopy procentowej dla tego rodzaju pożyczek. Pojmujemy trudność w udzielaniu taniego kredytu, jeżeli samemu trzeba drogo płacić, lecz do tego najkrótsza droga byłaby, ograniczyć dla członków kas Zaliczkowych dywidendę na przykład do 5% lub 6%, a obyłoby się i bez protekcyi, i kraj przyklasnąłby instytucyom, dającym tak piękny przykład ze swego apetytu. Wydział krajowy proponując założenie kas powiatowych chce stopę procentową ograniczyć do 6% lub 7%, nie wypada zatem przeszkadzać mu na tej drodze, lecz owszem przyklasnąć jego dobrym chęciom, niech próbuje, może mu się to uda!

Z artystami sceny lwowskiej, tymi właśnie którzy pogardzili warszawskiem Eldorado, musi być krucho, jeżeli zdecydowali się odwiedzić Stryja czy Stryj, gdzie mają dawać zapewne w skróconej edycyi przedstawienia. Szczęśliwi, że znaleźli takiego dobrego stryja, który zapewne o swoich synowcach i synowicach nie zapomni.

Literaturze i wydawnictwom wszelkiego rodzaju bardzo ciężko w tych czasach idzie na świecie, muszą ustępować wszystkim nawet gruszkom i śliwkom, które mimo tego, że drogie, daleko chętniej się kupuje niż książki. Trzeba przyznać, że publiczność galicyjska produkcyą literacką uważa za coś tak bardzo niedostępnego dla swego umysłu i kieszeni, że kupno książek poczytuje za zbytek, którego tylko ludzie bardzo zamożni pozwalać sobie mogą. W Kongresówce, na Podolu i Wołyniu nie ma domu obywatelskiego, któryby nie miał otwartego konta w jakiej księgarni warszawskiej, zkąd przysyłają mu nawet bez żądania wszystkie nowości księgarskie. Po kilka pism i codziennych i literackich znajdziecie tam na stole, a budżet roczny na ten luksus umysłowy zwyczajnie po kilkaset rubli wynosi. Szanowni nieczytelnicy! czy chcecie żeby literaci galicyjscy poszli drzewo rąbać po ulicach, albo zdobywać Banialukę, czy co? No pomiarkujcie się sami panowie i panie nieczytający, czy to wypada?

Piśmiennictwo polskie.

(*„Piękna" dramat w 4 aktach Wł. Okońskiego. Warszawa, 1878.*)

Ową piękną, bohaterką dramatu, jest pani Emilia, żona uczonego profesora botaniki. Obok niej występuje w sztuce cały szereg jej adoratorów różnego autoramentu, począwszy od męża, wyłącznie zajętego swoją nauką, a zupełnie ufającego żonie, a skończywszy na panu Zenonie Biebrze, który przybywa, ażeby wyrwać z sideł piękności swego siostrzeńca Henryka, na zabój zakochanego w Emilii, ale sam zaczyna topnieć pod czarem tej piękności. Oprócz tych trzech już wymienionych adoratorów mamy tu jeszcze hr. Ryszarda, zrujnowanego panka, z powodzeniem praktykującego zawód uwodzicielski, i p. Gracyana Dąbka, bogatego dorobkiewicza, pragnącego złotem zjednać sobie to, co Ryszard chciałby osiągnąć świetnemi manierami i sztuką uwodzicielską. Na tem się komplet adoratorów zamyka. Po za granicami jego mamy jeszcze do czynienia z brzydką Ireną, siostrą profesora, zakochaną w Henryku, a nawet narzeczoną jego z łaski wuja Biebny, ale jak wiemy, niekochaną przez niego, z panną Teresą, siostrą Dąbka, energicznie kupującą sobie męża w Ryszardzie, i wreszcie z hr. Januszem, ojcem Ryszarda, który zadłużony po uszy u Dąbka, opiera się jednak wszelkiemi siłami mezaliansom syna.

Przyzwyczajeni znajdować w podstawie dramatów p. Okońskiego filozoficzne temata, nie zawsze, co prawda, szczęśliwie rozwiązywane, i tu szukamy czegoś więcej nad zręczne ustawienie scen, a oto, co znajdujemy: Źle jest być ładną, ale jeszcze gorzej być brzydką. Piękna Emilia, wystawiona jest na ciągłe pokusy, i gdyby nie opatrznościowa interwencya Biebny, uległaby może natarczywym nadskakiwaniom Ryszarda Brzydka Irena, nie mogąc zatrzymać przy sobie narzeczonego, który chce żyć przynajmniej widokiem Emilii, i na każdym kroku spotykając upokorzenia z powodu swej brzydoty, odbiera sobie życie. Jeżeli więc to jest zasadniczą myślą dramatu, — innej dopatrzeć nie umiałem — to trzeba przyznać, że nie jest ona zbyt budującą, ani zbyt głęboką. Ani piękność nie jest fatalnym darem, ani brak piękności nie jest klęską, jeśli w duszy kobiety żyje coś więcej nad chęć podobania się z powierzchowności. Piękna laleczka (na nieszczęście Emilia mimowoli autora jest po części laleczką) może wprawdzie łatwo uledz pokusom, ale nie dla tego, że jest piękną, tylko, że jest laleczką. Kobieta wzgardzona przez narzeczonego, jak Irena przez Henryka, może dopuścić się samobójstwa, ale nie koniecznie dla tego, że jest nieładną, tylko że jest namiętną i nie może znieść bolesnej rany.

Na scenie sztuka pana Okońskiego może mieć powodzenie, przynajmniej chwilowe, bo ma dużo scen efektownych i bardzo żywy, bardzo dowcipny czasem dyalog. Pod tym ostatnim względem możnaby nawet powiedzieć, że sztuka jest nieco przesoloną, to jest, że prawie wszystkie bez wyjątku występujące w niej osoby wyrażają się zbyt dowcipnie i kunsztownie. W osnuciu fabuły był p. Okoński mniej szczęśliwym, jak w dyalogu i te dwa ogrody botaniczne, zakładane dla profesora a właściwie dla jego żony przez dwóch współzawodników do jej łaski, wyglądają dość hyperbolicznie. *J. T.*

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Au. Juliusz dr.* Socyalizm jako objaw choroby społecznej Zarys ustroju społecznego i krytyczna odprawa socyalizmu. 8ka, str. 188. Poznań 1878. 1 złr. 95 ct.

— *Dziesięć uwag* dla osób w smutku zostających. 16ka, str. 47. Pelplin 1879. 13 ct.

— *Małecki Antoni.* Gramatyka języka polskiego. Wydanie piąte przerobione. 8ka, str. 322. Lwów 1878. 1.25

— *Mielnicki Jan.* Listy, tomik I. 8ka, str. 4. Jarosław 1878. 12 ct. Tomik II. 8ka. str. 46. 12 ct.

— *Myszkowski St.* Maciej. Opowiadanie. 8ka, str. 40. Jarosław 1878. 12 ct.

— *Schober Jan.* Gramatyka języka niem. przerobiona przez Rebena i Popera. 8ka, str. 111. Kraków 1878. 70 ct.

— *Solecki.* Elementarz śpiewu i teoryi muzyki aprobowanej przez Tow. muzyczne we Lwowie. 8ka, str. 39. 60 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Gwiazda*, pod tym tytułem będzie wychodził w Tarnowie od połowy września tygodnik poświęcony sprawom ekonomiczno-społecznym i naukowym. Dawno już należało się pismo lokalne Tarnowowi, miasta o mniejszej liczbie ludności w Kongresówce wydają po parę pism, a między niemi są i codzienne. Wydawcą *Gwiazdy* jest p. Włodzimierz Angellus, właściciel drukarni, który także zamierza wydać kalendarz na rok 1879 pt. *Tarnowianin*. Redakcyę pisma objął pan Sawicz Zabłocki. Przedsięwzięciu temu mającemu na celu dobro kraju zasyłamy serdeczne *Szczęść Boże!*

*** P. Józef Przecławski, niegdyś uczeń uniwersytetu wileńskiego, od 1829—56, redaktor „Tygodnika Petersburgskiego," w r. b. w czasopiśmie „Ruskaja Starina" zamieścił obszerny szkic biograficzno-historyczny pt. „Ksawery książę Drucki-Lubecki, minister skarbu Król. pols. i członek rady państwa. W temże czasopismie znajdujemy inny artykuł pana Ptaszyńskiego pt. „Rodzina Despotów-Zenowiczów w XVI i XVII wieku." jakoteż „W. książę Konstanty Pawłowicz od 1779—1831" przez E. Karnorowicza. W innem znów czasopiśmie rossyjskiem „Wojennyj Zbornik" czytamy: „Wspomnienia z wojny rossyjsko-polskiej w 1831 z pamiętników Nejdowa."

*** Dla wielbicieli Van Dycka przyjemną będzie wiadomość, że biografia i dzieła tego wielkiego malarza zyskają niebawem sporą wiązankę rozjaśniających je szczegółów. Autografy odkryte przez p. Alfreda Michiels, uczonego dziejopisarza malarstwa flamandzkiego, nietylko prostują wiele błędów, ale nadto dostarczają najbardziej szczegółowych wskazówek o jego rodzinie, podróżach, obrazach, rzeźbach, osobistościach, z któremi wiązały go stosunki, o chronologii wreszcie jego utworów, która dotąd jest jeszcze tak ciemną. Dokumenty te wskazują również na przechowywane w pewnych księgozbiorach źródła, pouczające o pierwszych występach Van Dycka, o sposobie, w jaki urabiał się talent mistrza, a następnie styl kolejnym ulegał zmianom. „La Rep. Fr." donosi, że minister oświecenia publicznego i dyrektor sztuk pięknych zobowiązali p. A. Michiels'a, do zwiedzenia Włoch i Anglii, w celu dokompletowania badań w tamecznych bibliotekach i muzeach.

*** Zbiory po Bolesławie Podczaszyńskim, wkrótce sprzedane być mają. Zwracamy uwagę czytelników na wysoką naukową wartość tych zbiorów. Byłaby niepowetowana strata, gdyby się miały rozprószyć, lub w niewłaściwe dostać ręce. Przytaczamy tu ogólny spis zabytków składających to muzeum:

1. Książki dotyczące historyi, archeologii, nauk ścisłych, sztuk pięknych i t. d., razem tomów 1.823. Każdy dział może być nabywany oddzielnie.

2. Rękopisma rozliczne o budownictwie, starożytnościach, statystyce, sztukach pięknych, literaturze i administracyi. Znajdują się tu dyplomata i przywileje oryginalne na pergaminie wydane przez królów i dostojników polskich od XV do XVII wieku.

3. Zabytki przedhistoryczne, których zbiór należy do najpierwszych w kraju. Są tu popielnice doskonale przechowane, łzawice, paciorki, czaszki, oszczepy krzemienne, strzały, toporki, młotki, noże itp. Z epoki bronzowej znajdują się tutaj naszyjniki, naramienniki, kolczyki, pierścienie, spinki, wyroby z kości i rogu, bronie itd., wyroby ze szkła i bursztynu, z drzewa, żelaza itd. Ogółem dział ten zawiera okazów 1.143.

4. Zabytków historycznych, ozdób, spinek, orderów, odlewów gipsowych, razem okazów 300.

5. Zbiór oryginalnych, odlewanych i odciskanych pieczęci polskich wielkich, majestatycznych, mniejszych królewskich, gabinetowych, książęcych, arcybiskupich, kapituł, dekanatów, zgromadzeń zakonnych, miast, cechów itd. Jest to zbiór wartości niepospolitej — zawiera pieczęcie od Ryksy, małżonki Mieczysława II, aż do Stanisława Augusta. Wszystkich okazów znajduje się 8.437.

6. Zbiór rysunków, rycin, litografij, drzeworytów i fotografij. Znajduje się tutaj 175 rysunków Smuglewicza, Norblina, Freya, Vogta, księcia Czartoryskiego, Dolabelli, Verdego, Zacchi, Berghema itd. Ogółem rysunków ręcznych 605.

W dziale rycin, znajduje się 801 robót słynnego Daniela Chodowieckiego, a oprócz tego roboty Della-Belli, Płońskiego, Kielisińskiego, Piwarskiego, Oleszczyńskiego itd. Razem rycin do rzeczy polskich 2.468. Kart geograficznych 298. Mam i planów Warszawy, Krakowa i innych miast 146.

Rycin obcych znajduje się 1.351, między innemi roboty Rembrandt'a, Callot'a, Vischer'a, Morghen'a, Cune'go, Cortone'go, Denon'a itd. Ogółem dział rycin liczy okazów 4.818.

7. Zbiór mineralogiczny posiada wielką wartość naukową i praktyczną, i stosowne dlań umieszczenie byłoby w szkołach realnych lub w muzeum przemysłowem.

*** Dla Towarzystwa pomocy naukowej w Cieszynie złożył: Józef Szyroki, rolnik w Rychwałdzie 20 złr. i zapisał się za członka wieczystego, dla pamiątki, że brat jego śp. Jan Szyroki był katechetą w gimnazyum cieszyńskiem do r. 1840.

ROZMAITOŚCI

*** Miasto wystawione na sprzedaż. Nie mogąc zadość uczynić ogromowi podatków, mieszkańcy miasta Marsala (w Sycylii) rozlepili na ulicach tego miasta następujące obwieszczenie: „Trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców Marsali, widząc zupełne niepodobieństwo opłacania nadal podatków obciążających ich mniejsze i większe własności tak miejskie jak wiejskie, wobec drapieżności biur podatkowych a zupełnego braku wszelkich źródeł handlowych i przemysłowych, postanowili sprzedać swoje miasto więcej dającemu i przez publiczną licytacyą. Spodziewają się oni, że znajdą się nabywcy, którzy potrafią jakim cudownym sposobem zadość uczynić drapieżnym sępom, które niszczą piękną ziemię Sycylii i ufają, że emigrując całą masą, aby zaludnić żyzne okolice Australii, nie popadną na nowo w ręce żarłocznych harpii". — Ta odezwa komiczna, ale boleśnie wymowna, powtórzoną została przez wszystkie dzienniki włoskie.

*** Dzienniki podają, że Bismark waży 13 funtów więcej jak w r. zeszłym. Co za szczęście!

*** W więzieniu Favignano we Włoszech zdarzył się okropny wypadek.

Dyrektor tego więzienia wszedł przeszłej środy do celi jednego więźnia dla odbycia zwykłego przeglądu

W chwili gdy wchodził, aresztant rzucił się na niego, powalił na ziemię i wbił mu w lewą skroń gwóźdź za pomocą kawałka drzewa.

Na krzyk dyrektora nadbiegł strażnik i jednem uderzeniem szabli zadał śmierć więźniowi.

W kilka minut później, zabójca i jego ofiara leżeli martwi obok siebie.

*** W Indyach panował straszny głód, o którym wszystkie czasopisma częste sprawozdania czyniły. Obecnie dziennik „Natura" zwraca uwagę, że inna jeszcze klęska ma miejsce w kraju pomienionym, jaką się nikt nie zajmuje; są to straty spowodowane w Indyach przez drapieżne zwierzęta, mianowicie węże jadowite Statystyka wypadków zebranych przez Fayrera jest przerażającą, z niej bowiem okazuje się, że Indye wschodnie corocznie tracą wskutek rozszarpania przez zwierzęta drapieżne, lub ukąszenia, do 20 tysięcy ludzi a około trzydziestu tysięcy sztuk bydła, pierwsi ofiarą padają złośliwości wężów, ostatnie żarłoczności zwierząt.

*** Od dawna już myślano o przebyciu balonem Atlantyku, lecz teraz dopiero projekt ten będzie wykonany przez Niemca pana M. Schroeder. Balon ten będzie miał 91 stóp wysokości a 20 stóp średnicy, zbudowany będzie w kształcie cylindra zakończonego ostro na obu końcach i ma być pokryty kauczukiem nieprzemakalnym a następnie najmocniejszą materyą. Materya ta będzie nasycona olejem lnianym a nad balonem będzie umieszczony dach z mocnego płótna mogący służyć także jako spadochron. Łódka również jak balon ma być zakończona ostro na obu końcach, a szerokość jej w środku ma wynosić 4 stopy. Będzie to zwyczajna, bardzo mocna łódź z drzewa sosnowego. W tyle okrętu będzie umieszczony ster bardzo czuły a na przodzie śruba poruszana przez maszynę elektryczną o sile jednego konia; śruba ta może się poruszać 1.000 do 1.500 razy na minutę, co nada nadpowietrznemu statkowi szybkość 45 do 46 mil na godzinę.

Przestrzeń wolna pomiędzy balonem a łodzią ma mieć 30 stóp wysokości. Znaczną część tej przestrzeni zajmie para olbrzymich skrzydeł, których jedno poruszenie wzniesie balon 30 stóp nad powierzchnię ziemi. Ponieważ poruszenia tych potężnych skrzydeł mogą następować po sobie co sekunda, balon wzniesie się 1.000 stóp po upływie pół minuty.

Na tej wysokości śruba może rozpocząć swój ruch a balon popędzi tak prędko jak najszybszy pociąg kolei żelaznej.

Wyznajemy jednakże, że wszystko to co napisaliśmy, powtarzamy za wynalazcą balonu.

*** Dyrektor Messager de Vienne p. M. B. Wołowski, który redaguje teraz w Paryżu *Messager de l'Exposition*. miał zaszczyt otrzymać d. 20. Sierpnia osobną audyencyę u króla Portugalii Ferdynanda, przybyłego obecnie na Wystawę powszechną do Paryża.

*** Sławny nurek kapitan Boyton ukaże się znowu publiczności paryskiej.

W przyszły poniedziałek wyjdzie z Nogent sur Seine i będzie postępował dnem rzeki. Przestrzeń, którą ma przebyć, wynosi blisko 200 kilometrów, a cała podróż ma trwać niedłużej jak 3 dni. Jest to uwiadomienie dla mieszkańców nadbrzeżnych.

Trzeciego dnia, tj. we środę, statek parowy kapitana wypłynie na jego spotkanie. Będzie go oczekiwać u przypływu Marny, a potem towarzyszyć aż do miejsca wystawy.

Oprócz tego kapitan Boyton ma zamiar przedstawić i wytłumaczyć zwiedzającym wystawę niektóre sztuki, jak np. budowanie tratwy tylko z tarcic i desek i niesienie tego ciężaru na ramionach przez dość długi czas.

Przyrząd kapitana pozwala mu żyć pod wodą tak wygodnie jak na ziemi, może otwierać parasol, czytać dziennik, palić cygara, a nawet strzelać z rewolweru co było mu bardzo użytecznem w morzu, gdzie często spotykał rekinów. Skrzynka zawierająca sprzęty kuchenne jest przywiązana do brzegu tratwy a kapitan sam sobie przyrządza pożywienie.

Kapitan B. ma dopiero 30 lat. Włosy i wąsy jego są czarne, oczy jasno-niebieskie. Towarzyszy mu dwóch małych murzynków, młodszy pochodzi z Senegalu i ma 9 lat. Brzydki jak małpa, ma jednak wiele złośliwości i sprytu. Pani Boyton chciała go posłać swemu synowi, ale nie wiedziała gdzie się właśnie wtenczas kapitan znajduje. Ponieważ murzynek nie umie po francusku, p. Boyton przylepiła mu do ubrania karteczkę z napisem: „Kapitanowi Boyton." Tak przybył do Hawru, a ztamtąd wysłano go do Bordeaux, gdzie znajdował się kapitan.

*** W Rzymie zmarł w dniu 5 bm. Giordio Trivulzio Pallavicini, senator, liczący lat 93, szanowany w całych Włoszech patryota i znany ze swojej niegdyś ucieczki z Pragi. W roku 1821, w spisek karbonarski wmięszany, skazany był w Medyolanie na śmierć. Ułaskawiony, przesiedział 14 lat w kajdanach na Piorunowie czyli Spielbergu. Następnie internowany w Pradze, musiał się co trzeci dzień stawiać w policyi.

W Pradze pokochał on córkę kupca win Kollmana, która mu do ucieczki pomogła, rozstawiwszy konie wierzchowe do granicy saskiej.

Pallavicini, lubo sparaliżowany na nogę wskutek długoletniego noszenia kajdan, odbył tą niebezpieczną podróż.

Teresę Kollman aresztowano i kilka lat przesiedziała w więzieniu. Gdy ją uwolniono, pojechała do Paryża, gdzie ją Pallavicini zaślubił.

Od roku 1848 mieszkał w Turynie, a w roku 1860 był rządcą Neapolu. Wdowa po zmarłym żyje jeszcze.

*** Inżynierzy w Arstralii używają dowcipnego sposobu, ażeby zabezpieczyć linie telegraficzne od barbarzyństwa ludów dzikich. — Urządzili oni prądy dodatkowe takim sposobem, ażeby osoba dotykająca słupa telegraficznego, doznawała niezwłocznie silnego wstrząśnienia elektrycznego. Wstrząśnienie to niezrozumiałe dla umysłu dzikich, wzbudziło w nich wielki strach i poszanowanie, tak iż nie śmią nietylko psuć drutów, ale nawet przystępować do słupów telegraficznych.

*** Bajeczna stopa procentu!

Do jakiego stopnia żydzi lichwiarze wyzyskują niemiłosiernie lud wiejski, pobierając od wypożyczanych sumek kolosalne procenty, świadczyć może o tem i fakt następujący.

Pewien izraelita, zamieszkały w majątku ziemskim C*, znajdującym się w powiecie iłżeckim, bierze

od jednej biednej wieśniaczki półtory kwarty mleka dziennie, w cenie 12 groszy, od... pożyczonego jej rubla!

Rubel zatem przynosi mu rocznie... dwadzieścia jeden rs. sześćdziesiąt kop czyli od 100 rs. przypada podobnego procentu 2160 rs.

Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe!

*** Kobiety amerykańskie coraz bardziej hołdują naukom medycznym. Przed kilku dniami, 48 kobiet zamężnych i panien, wychowanic uniwersytetu waszyngtońskiego, przybyło do Medyolanu.

HISTORYJKI DYPLOMATYCZNE.

I.

DISRAELI.

1837 — 1878.

— Jakkolwiek mnie panowie dzisiaj słuchać nie chcecie, przyjdzie chwila, w której będziecie mnie słuchać z pewnością!...

Temi słowami zakończył w dniu 7. grudnia 1837 Benjamin Disraeli, dzisiejszy kanclerz Anglii, lord Beaconsfield, „książę Cypru“ — swoją mówkę inauguracyjną w londyńskim parlamencie po półgodzinnych, daremnych usiłowaniach zwrócenia na siebie uwagi słuchaczów.

W samej rzeczy; rzadko kiedy spełnia się tak dosłownie przepowiednia czyja, jak powyższe słowa młodego deputowanego.

Chwila taka nadeszła; nietylko cała izba niższa zebrała się w komplecie, aby wysłuchać objaśnień politycznego programu kanclerza Anglii, ale wszystko co kraj posiadał z inteligencyi i arystokracyi zgromadziło się w złotej sali posiedzeń z bijącem sercem, z wytężoną uwagą. Niezawodnie żadna z śpiewaczek królewskiego teatru w Londynie, żaden z artystów nadwornych *Her Majesty* nie może się poszczycić, aby na jego koncercie tak doborowa publiczność siedziała zasłuchana w najlżejszy szmer, w najciszej wypowiedziane słowo, jak wówczas gdy Beaconsfield po powrocie z kongresu zdawał sprawę ze swojej misyi dyplomatycznej.

Lat temu czterdzieści nie chciano go słuchać; dzisiaj cały kwiat Albionu obojej płci zwija się w przepiękny wieniec około niego, oddycha jego słowami, powtarza je przez sen, kobiety najbogatsze i najpiękniejsze więcej spoglądają w gazety niż w zwierciadło, aby tylko dowiedzieć się cośkolwiek o Disraelim.

To nic — że Londyn jest sławą upojony, że kiedy kanclerz przemówi, cała Anglia chciałaby się zmienić w jedno olbrzymie ucho, że prasa angielska o mało co nie oblicza ilości pulsów i oddechów kanclerza, — cały świat cywilizowany nie przestaje się zajmować nim i tysiące drutów telegraficznych roznosi po Europie i Ameryce echo jego mowy — przy każdym nowym wypadku w polityce pytają najpierw: a cóż powie Anglia?

Anglia zaś mówi dzisiaj tylko ustami swego kanclerza.

Z portretow, fotografij, rysunków zna już prawie każdy fizyognomię wielkiego ministra królowej Wiktoryi.

Pomimo późnego wieku, kanclerz trzyma się jeszcze prosto i krzepko, szczególniej gdy czuje na sobie cudze spojrzenia. Jakiś niemiecki dowcipniś w Berlinie scharakteryzował krótko postać szlachetnego lorda: „przez pół angielski dandy, przez pół żydek polski.“

Utrzymują, że to najtrafniejsza charakterystyka fizyognomii Beaconsfielda.

Nad czołem w pośrodku, filuternie kręci się zawsze jeszcze posiwiały loczek, zabytek bujnej niegdyś i kędzierzawej czupryny, którą życie i dyplomacya wyskubały powoli.

Długi brązowy surdut angielski zapięty na wszystkie guziki obciska figurę kanclerza, ile razy tylko w dzień pogodny wychodzi z domu do Carlton Club'u.

Inaczej to było zupełnie przed laty czterdziestu, w ów zimny grudniowy wieczór r. 1837 po doznanem „fiasko“ w izbie niższej. Może też i powierzchowność ówczesnego pana Benjamina przyczyniła się niemało do jego niepowodzenia; strój jego bowiem był zanadto krzyczący.

Jeden z współczesnych świadków tej sceny w parlamencie opowiada, iż Disraeli miał na sobie zielonego koloru surdut, białą kamizelkę kroju „Dick-Swiveller“ pokrytą całą siecią złotych łańcuszków i bryloków, pantalony krzycząco opięte i czarną jedwabną chustkę bez kołnierza na szyi.

Twarz jego była trupiej bladości, oczy tylko pałały i z pod niezbyt szerokiego czoła świeciły jak u kruka.

Na czoło frenzle hebanowych loczków spadały z pewną kokieteryą i połyskiwały wonnościami skropione.

Żywa gestykulacya i gwałtowne ruchy nie mogły mu pozyskać sympatyi poważnej i sztywnej izby ówczesnej, która do gabinetu figur woskowych i manekinów porównaćby się dała.

Disraelego uważano tam za teatralnego szarlatana, pragnącego się „à tout prix“ wsławić.

O wiele życzliwiej szkicuje sylwetkę jego w latach dwudziestu jakaś pobłażliwa rączka, zapewne kobieca, która jego młodzieńczą dłoń ściskała na salonach słynnej swego czasu lady Blessington: „Jest on uderzająco, szczególniej przystojnym, ma krucze włosy i oczy, w których błyszczy inteligencya i żywość charakteru, regularnie zakrojony nos i romantycznie bladą płeć.“

Do dzisiejszego dnia jeszcze stare matrony z westchnieniem wspominają owe czasy, gdy piękny Disraeli zaczął bywać w towarzystwach.

I mówią z pewną czułością o jego hebanowych loczkach, o jego brylantowych oczach, na poły kobiecych manierach, o z lekka szepleniącej wymowie, o czarnym aksamitnym fraku podbitym białym atłasem, jasnych rękawiczkach lamowanych jedwabną czarną frenzlą, o lasce z kości słoniowej z złotą gałką, z której spadały jedwabne chwasty — i mówią o wielu innych szczegółach te poważne matrony Albionu, ile razy o przytępiony zmysł słuchu uderzy jego imię, głośne dzisiaj nie pięknością i romantycznie bladą cerą, ale historycznemi zasługami około dobra całej Anglii.

Willis, przed laty wielce popularny pisarz angielski z pewną złośliwością wyraża się o Disraelim.

„Dziwna to twarz — powiada on szkicując portret Benjamina z czasów jego młodości — nie zdarzyło mi się spotkać wiele podobnych. Uderza ona śmiertelną bladością, a gdyby nie żywe i energiczne ruchy i zdrowe płuca, możnaby sądzić z pozoru, że to suchotnik przeznaczony na mary. Oko jego czarne jak otchłań Erebu, z której przegląda na zewnątrz szyderstwo, spojrzenie człowieka stojącego zawsze w zasadzce. Około ust igra nieustannie jakiś nerwowy niecierpliwy grymas, drgają mu one jakby w takt jego myślom, a kiedy zadowolony z czego, to zawijają się kąty tych ust z takim wyrazem naigrawania i ironii, jakiegoby się Mefistofeles nie powstydził.“

Tak wyglądał młody Disraeli, gdy w roku 1826 pojawił się pierwszy tom „Vivian Grey“ w Londynie.

Każdy pytał zaciekawiony, kto jest tym autorem zuchwałym; cały Londyn od króla począwszy na najmłodszym polityku skończywszy, zajmował się tylko jego książką.

Jedna edycya następowała po drugiej, romans zrobił ogromny rozgłos autorowi, w ciągu jednej doby niejako zrobił go sławnym.

Na drugi rok dopiero dalsze tomy „Viviana Grey“ ukazały się z nazwiskiem autora i świat dowiedział się o istnieniu nowego pisarza Benjamina Disraelego.

Przy ogólnych wyborach bezpośrednio po śmierci króla Wilhelma IV, w pierwszym roku panowania dzisiejszej królowej Wiktoryi, Disraeli rozpoczął swą karyerę jako członek parlamentu wybrany z okręgu Maidstone.

Fundament jego dzisiejszej wielkości został wówczas położony.

W tymże samym parlamencie na ławie stronnictwa torysów widziano wówczas drugiego człowieka w kwiecie wieku o dziwnie ujmującej twarzy, uderzająco przystojnego, skromnego jak panienka, który potrzebował tylko odezwać się w izbie, aby wszystkich oczy i uszy skierowały się w jego stronę.

I on także odznaczał się bujną, kruczą czupryną, zaczesaną starannie pośrodku.

Regularne rysy sprawiały nader przyjemne wrażenie; w przeciwstawieństwie do Disraelego, młody ów człowiek miał cerę zdrową, świeżą, rumianą i w całej postawie przebijała się siła i młodość.

Był to W. E. Gladstone, deputowany z Newark, który w owych czasach pomiędzy torysami uchodził jako „plus royaliste, que le roi même,“ który przed niedawnem napisał był rozprawę w obronie kościoła protestanckiego w Irlandyi, którego Macauley jako wschodzące słońce stronnictwa torysów uważał.

Od owego r. 1837 minęło przeszło lat czterdzieści, i przeszło czterdzieści lat ci dwaj ludzie zajmowali pierwsze miejsca w parlamencie angielskim. Disraeli wówczas radykalny reformator całego świata, Gladstone wcielona kwintessencya zasad torysowskich, ale „tempora mutantur, et... Disraeli cum Gladstone in illis.

Earl Beaconsfield znajduje się obecnie u szczytu chwały.

Trójjedyne królestwo wspólnie z Europą hołd mu oddaje — a nawet tak nieugięta potęga moralna jak... „Punch“ angielski, uchyla czoła przed nowym kawalerem Podwiązki.

Pierwsza ta gazeta humorystyczna Brytanii zebrała niedawno w jednym tomie wszystkie „carton's,“ w których figurowała postać lorda.

Ciekawe to album!

Pod ołówkiem Litcha i Tannyels'a, Beaconsfield nabiera epicznych kształtów.

W ciągu swej karyery politycznej, to jest od roku 1841, uwieczniany w ten sposób był on razy sto cztery.

A pierwsze chwile pobytu młodego wówczas dyplomaty na kartach „Puncha“ nie były co prawda zbyt słodkie.

Początkowe stronnice ciekawej galeryi wskazują to dowodnie.

Tutaj mąż stanu, tyle dziś wielki, wyobrażony jako karzeł pośród olbrzymów — Gulliwer między „brobdinghagami.“

Peel'owi nie dochodzi on do kolan.

Gdzieindziej znów Earl Beaconsfield, przedstawiony jako wąż, oburza się na „piłę.“

Dobry dwuznacznik...

Następnie nazwany jest minister młodym Disraeli, a jeszcze dalej przedstawiony jako młody włóczęga oszukujący głupich wieśniaków...

Gdzieindziej spostrzegamy obecnego kawalera Podwiązki i członka cechu krawieckiego czytającego „Juventus mundi“ Gladstone'a, podczas gdy jego przeciwnik zagłębiony również w czytanie oznajmia, że „Lothair“ jest — głupstwem.

Na ostatniej kartce albumu znalazł miejsce pokongresowy już rysunek...

Dizzi (Disraeli), jako Blondin, chodzi po linie zwanej zapewne — dyplomacyą.

Na ramionach jego spoczywa złamany paraliżem starzec o typie wschodnim.

To Turek.

Rzeczywiście przyznać należy, że przeniósł go Earl Beaconsfield bez szkody — dla siebie!

Od Redakcyi.

P. A. B. w Toustem. Nadesłane wiersze nie mogą być drukowane.

P. X. X. nie można.

Treść Nr. 53.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki